WARSZAWA

NASZ DOM

KRAKÓW

(TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI)

PISMO ILLUSTROWANE, POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM.

Rok LIII. 16 Sierpnia 1913 r. № 33.



Ś. p. Marya Skrodzka.

„Synu! chodź przedemną drogą prawdy i w prostocie serca twego szukai mię zawsze".

Z prostotą serca wierząca, posłuszna woli Bożej, szła przez życie pracy i trudu ś. p. Marya Skrodzka, z tą pogodą i wytrwaniem, jakie zesyła Duch — na wybrańców swoich.

Pismu naszemu z jej śmiercią, ubyła jedna z najbardziej pożytecznych spółpracownic, spółredaktorka i doradczyni.

Cicha, skromna, pracowita, sumiennością zyskała sobie w ciągu swego długoletniego uczestnictwa w piśmie zupełne zaufanie czytelników. Dobra koleżanka niosła otuchę i niejedną użyteczną radę wszystkim tym, z którymi bądź pracowała, bądź przestawała.

Od lat 37, otaczając swą opieką staraniem i wytrwałą w pracy dokładnością, dział mód i robót kobiecych potrafiła w wiadomości napozór błahe i światowe przelać całą swą szlachetną istotę. Jej wskazówki, rady, objaśnienia, dalekie od pedanteryi, były jednak zazwyczaj pełne tej troski, jaka musiała ogarniać istotę inteligentną i myślącą, w związku z kobiecym strojem i jego częstem nadużyciem. To też zalecając staranność i estetykę, nie pominęła nigdy sposobności karcenia nadmiernego zbytku i gonienia za próżną, bezmyślną modą.

A nadając tym sposobem swej rubryce cechy poważne, dowiodła, że nie ma tak błahej sprawy, która nie mogłaby stać się ważną, jeśli ją się łączy z wyższymi zagadnieniami życia.

Owocem trudów ostatnich jej dni było ułożenie „Kursu koronki Irlandzkiej", a ten tylko ocenić może wysiłek tej drobiazgowej pracy, kto sam dotknął tej roboty. Z zadowoleniem też śledziła rezultaty swych usiłowań, które z takim uznaniem przyjęły nasze czytelniczki.

Tkliwa jej dusza na niedole ludzkie, zawsze cudze troski przyswajała sobie na własność, stąd wyczerpywały się siły, których zbrakło do zwyciężania ostatniej choroby.

„Tyś chwałą moją i radością serca mego. Tyś nadzieją i ucieczką moją w dniach utrapienia" szeptały jej usta w cichej modlitwie, a mimo to, za drugich — cierpiała. Serce, jakiem otaczała sprawy Kraju, Kościoła, ukochanej rodziny i bliźnich, wypowiedziało posłuszeństwo i odeszła od życia żegnana łzami serdecznego bólu przez tych, których miłość zdobyć potrafiła.

Ś. p. Marya Skrodzka pozostawiła po sobie żal serdeczny wśród kolegów i koleżanek, z którymi przez tyle lat pracowała. Pogrzeb jej odbył się przy bardzo licznym udziale rodziny znajomych, kolegów i koleżanek. Kondukt żałobny prowadziły bractwa, których członkinią była zmarła przez długie lata. Zwłoki spoczęły na cmentarzu Powązkowskim.

Tej, która wytrwale zasilała nas swą pomocą, której praca za przykład służyć nam będzie składamy na tym miejscu wyrazy najwyższej podzięki i uznania, jako dla dzielnej pracownicy i żalu jaki po sobie zostawia zacna, szlachetna, dobra kobieta.

R.

NASZA HELA.

Listy dla młodej polki.

Eugenii Żmijewskiej i Lucyny Kotarbińskiej.

JEDENASTY LIST HELI.

Czarnomaśnia, 16 września.

Rozumiem, co znaczą słowa pani o „udawaniu". Do siebie ich nie biorę. Wiem, że ostrze ich wymierzone w stronę Romka. On się pani nie podoba — na niewidziane. Nic mi pani nie pisze wyraźnie, ale ja jestem *fine mouche* — mówić mi nie trzeba: I wiem, czemu go pani nie lubi i kogo chciałaby Pani widzieć na jego miejscu, lecz moje pragnienia daleko od pragnień pani odbiegły i nie zejdą się z niemi na tym punkcie.

Co zaś do „udawania", zdziwi Panią zapewne, że przyznam jej słuszność. Tak rzadko się to zdarza. Mam wrodzony duch sprzeciwieństwa, a przytem wyznaję zasadę, że „starszym" ustępować nie należy. Oni tylko na to czyhają, aby nas miażdżyć swojem „doświadczeniem". Bądź co bądź — to są dwa wrogie obozy. Na to rady niema. A jedyna pociecha — że ten chleb się oddaje, że to jest huśtawka: co było u góry, po chwili spada na dół. „Chwila" coprawda, długa. Ja żyję lat dwadzieścia niespełna, a zdaje mi się nieraz, że zaczęłam żyć bardzo dawno. Babunia mówiła mi, że potem czas daleko prędzej leci, a im bliżej końca — tem szybciej, bo znikają słupy graniczne wrażeń, wzruszeń, uczuć, znaczących młodość. W ciągu jednego dnia człowiek czasem tyle przeżyje, że oglądając się poza siebie, trudno mu uwierzyć, że to było zaledwie wczoraj—onegdaj. Ja tu miewam takie chwile, pełne wrażeń, a niestety, nie dnie, lecz chwile! Jakże krótkie!

Panią dziwi; powiedzmy — gorszy (i to jest w porządku rzeczy) owa „lekceważąca otwartość", z jaką „traktuję" uczucia i sensacyę. Wydaję się to pani „nieprzystojnem". Jeszcze jeden dowód na potwierdzenie tego, co mówiłam przed chwilą o dwu wrogich obozach: tym, który stoi na placu boju, i tym, który z niego ustępuje. Inaczej być nie może. Patrząc wstecz — niepodobna widzieć — naprzód. A mówcie, co chcecie, wy, „starsi", przy najlepszych nawet chęciach, nie lubicie oglądać się poza siebie. Na zarzut *nieprzystojności* odpowiem pani, że *my dziś* uważamy miłość, jako proces fizyologiczny, objawiający się w gorączce. Więc poprostu

mierzymy jej temperaturę. Donosiłam pani o różnych, coraz wyższych stopniach mojej gorączki. Gdybym była chora na febrę, nie gorszyłyby pani takie biuletyny. Czemu się pani gorszy, gdy jestem chora— na miłość. Różnica w tem tylko, że nie każdy przechodzi febrę, a na miłość każdy *zapada*. I powinno panią nawet cieszyć, że ja to „traktuję“, jako stan przejściowy. Wszak to daje rękojmię, że wrócę do życia „w tem, co było, co jest i będzie“, że stanę się znowu „cząsteczką wielkiej potęgi, co się rozciąga w nieskończoność“.

Ten stan „zapalny“ nie może trwać długo. Wiem o tem i dlatego żal mi każdej chwili, straconej na „udawanie“.

Powiedziałam to Romkowi, po liście pani. (Czy takiego chciała pani skutku?) On mi wyłuszczał, że złem byłoby „udawanie uczuć, których się nie doznaje“, bo to w drugiej osobie może wywołać złudzenie, a dalszą ich konsekwencyą byłaby — krzywda. Ale ja przecież nikogo nie krzywdzę, trzymając uczucia na wodzy. W zasadzie on ma racyę. I dziwię się, że pani mi to zarzuca, pani, należąca do pokolenia, w którem obowiązywało nietylko ukrywanie, ale wstydzenie się uczuć dla „obcego mężczyzny“.

My patrzymy na to inaczej, to też ja udawać nie chciałam. Oświadczyłam Romkowi, że ta sytuacya mnie nudzi i powiem Tali, jak się rzeczy mają między nami. A on mi na to zarzucił, że „chcę się popisać z narzeczeństwem“. Oburzyłam się. Co za przesadne pojęcie o roli mężczyzny, jakie zepchnięcie kobiety do stanowiska niewolnicy, oczekującej na wybór — sułtana. W chwili tej byłam niemal feministką. Do sprzeczki między nami nie doszło tylko dlatego, że, jak zwykle, nasze sam na sam przerwała Tala. Dąsałam się na Roma przez parę godzin, ale przydybał mnie na korytarzu pokojów gościnnych.

Nastąpiła zgoda i kapitulacya z mojej strony. Przekonał mnie, że skoro niebawem wyjadę, nie warto ujawniać naszego stosunku. Zbyt wiele zaszczytu dla nich. Raz jeszcze potem byłam na niego oburzona. Wydawał mi się w Linowie demokratą — ludowcem nawet. Widocznie panująca tam atmosfera demokratyczna była aż nagminną — zaraźliwą. A tutaj stoimy na przeciwnym biegunie. (Mówię: stoimy, wykluczając, naturalnie — siebie). Chwilami możnaby przypuścić, że wieki średnie wróciły, na życzenie lady Rovenny — z komedyi Marlowa „Złoty wiek rycerstwa“. Nie ćwiczą już wprawdzie „poddanych“, lecz nie przyznają im jeszcze praw ludzkich. A dziwi mnie najbardziej, że i matka Tali, która gotowaby umrzeć za Ojczyznę, żyć dla niej nie chce i powiada, że ją sprawy społeczne nic a-nic nie obchodzą.

—Jakto! — podjęłam z oburzeniem,— w pracy społecznej odrodzenie kraju... Kooperatywa...

—Moje dziecko, tylko mi o kooperatywie nie mów...—Przez uszy się przelewa... Zanudzają nas tem warszawskie gazety. Gazet można przynajmniej nie czytać, ale nie zmuszaj mnie do słuchania tego nudziarstwa. Daj mi z tem pokój, Helenko.

Naturalnie, że umilkłam. Z tem, co kocham, nie zwykłam wychodzić na rynek, zwłaszcza na taki, gdzie żadne wyższe ukochania obiegu ni zbytu nie mają.

Rom się nie odzywał — z tych samych zapewne powodów, więc mu za złe nie miałam. Lecz zabolało mnie, gdy w innej dyskusyi stanął po — ich stronie. Już poprzednio poruszałam sprawę oddziaływania na lud. Tłomaczono mi, że w tym kraju, przy odrębności plemiennej, religijnej i językowej — taka praca jest niemożliwą.

We dworze we wsi są jednak tak zwani tutaj „szlachcice“ i „szlachcianki“ jednakowej wiary i mowy, jednakowego pochodzenia. A i dla nich nic się nie robi.

Usługuje mi 16-letnia córka stangreta, Sonia. Proszę sobie wyobrazić: dotychczas nie uczono jej ani czytać ani pisać. A dziewczyna pojętna. Uczę ją metodą Promyka. Tak się cieszy! Tak mi wdzięczna! Pochwaliła się Tali, która przy obiedzie z ironicznym uśmiechem rzekła: Panna Helena zmniejsza liczbę analfabetów. Miewa lekcye z Sonią. Widziałam, że jej ojciec popatrzał na mnie ze zdziwieniem, z trwogą.

— Niechże pani da pokój. Z tego mogą być tylko... — nieprzyjemności.

Nie zdziwiło mnie to w jego ustach— choć on właśnie, we własnym interesie — powinienby sprzyjać nauczaniu analfabetów, bo pisze: przynica, bóraki, żeto itp. Do końca dni swoich nie przestanie żałować, że nie urodził się w czasach pańszczyzny, a to jedno go pociesza, że możeby już nie żył. Trzeba słyszeć, z jakiem przekonaniem nuci:

Ukraino, kraju żyzny, co ty zrobisz bez pańszczyzny?
Bez pańszczyzny i bez bata. Toć to chyba koniec świata.

Zakres jego światów — już poznałam. (Nietrudno). Więc żadne jego odezwanie mnie nie zdziwi. Ale jak Romek mógł tę sprawę zbyć żartem:

— Idzie pani śladami afrykańskich misyonarzy, — odbierających pogodę bezmyślności murzynom — wtrącił z uśmiechem.

Spojrzałam na niego tak, że się zaczerwienił.

A matrona, gotowa na całopalenie dla Polski — rzekła:

— W dodatku, moja droga, źle wpłyniesz na jej moralność, bo jak się tylko dziewczyna pisać nauczy, zacznie pisywać do kochanków.

To jest ich pogląd na oświatę!...

A niech sobie mają, jaki chcą. Ale Romek! Mój Romek! I zauważyłam, że wobec nauczyciela i nauczycielki jest wyniosły. Chciałam go za to zgromić, lecz tak mało jesteśmy z sobą na cztery oczy, że szkoda czasu na perory.

Wobec stałych mieszkańców Czarnomażni zaniechałam już wszelkiego apostolstwa (Tala coraz mniej mi się podoba), ale Romka zmienić muszę. Podziała na niego atmosfera naszego domu, trochę zawieruszona, ale czysta i górna. Teraz dopiero oceniam ją — przez kontrast. Ani mama ani ojciec nie deklamują na temat miłości kraju, ale robią dla tego kraju, co mogą i jak mogą. I mój mąż będzie robić. Musi. Chcę już w przyszłym tygodniu stąd wyjechać. Roman zostanie jeszcze parę dni dla niepoznaki. Potem, na kilka tygodni pojedzie do swoich rodziców. A wreszcie— z moimi się zapozna. Ciekawa też jestem, jak im się podoba. Ojcu — prędzej. Ale mama elegantów nie lubi. I ja nie lubiłam. Można się przekonać. Ja ich przekonam. Postaram się. Bo jednak chodzi mi o ich zdanie. Kiedyż nareszcie będę miała Roma dla siebie! Cieszę się na tę chwilę. Tymczasem udajemy obojętność. Bo istotnie, czy warto mówić o kochaniu ludziom, którzy nic nie kochają. Więc, mimo, że zgadzam się z panią w zasadzie co do szczerości i jawności, zasady nie stosuję. To mój pierwszy kompromis życiowy. Co zaś do drugiego zarzutu: podejrzliwości, już jej nie uprawiam, bo mało mnie obchodzi— a nawet nie obchodzi wcale — czy jest, lub nie jest „iluzoryczną“.

Czytając moje poglądy na miłość, niech pani pomyśli, że może za jakie lat dwadzieścia, trzydzieści ja z takiem samem mniej - więcej uczuciem... przykrem słuchać lub czytać będę zapatrywania na ten wiekuisty a coraz inaczej traktowany przedmiot. W myśli tej znajdzie pani pobłażliwość, do której zresztą, przyznaję, jest pani skłonną.

Hela.

UDZIAŁ KOBIETY
w ekonomicznym rozwoju społeczeństw.

2. Kobieta w gospodarstwie wytwórczem.

Co to jest gospodarstwo wytwórcze? Hodowla trzody, drobiu, nabiał, ogrodnictwo. Gospodarstwo dawniej i dziś.—Rola kobiety w gospodarstwie. Co mówią cyfry? Kształcenie kobiet zawodowe. Gospodarstwo wytwórcze Pogarda dla zajęć praktycznych. Wzorowe fermy. Szkoły gospodarcze i ich gwałtowna potrzeba.

Dotąd mówiłam tylko o tej najniewdzięczniejszej i najmniej ocenianej sferze działalności kobiecej — o pracy domowej. Temat, jaki podejmuję obecnie, przedstawia pole o wiele już wdzięczniejsze, bo traktuje o działalności kobiecej w gospodarstwie wytwórczem, które ma na celu nagromadzenie pewnych dóbr materyalnych i które dlatego poważane bywa, jako ekonomicznie twórcza dziedzina pracy.

Wyjaśnijmy sobie przedewszystkiem, co rozumieć należy przez ten termin — gospodarstwo wytwórcze—w znaczeniu, o jakie nam chodzi.

Otóż, obejmuje on wszelką pracę wytwórczą gospodarstwa wiejskiego, która stanowiła lub stanowić poczyna sferę działalności kobiety, a więc: racyonalną hodowlę trzody, hodowlę drobiu, gospodarstwo nabiałowe, ogrodnictwo i związany z niem dział suszów oraz przetworów owocowych, hodowlę nasion, hodowlę drzewek w szkółkach, pszczelnictwo, rybołówstwo, jedwabnictwo i t. p. Ta sfera pracy należała do kobiety — naturalnie, w cokolwiek innym zakresie i mniejszych rozmiarach — już od samych pierwocin cywilizacyi.

Przez długie wieki takie gospodar-

stwo domowe zmuszone było sobie wystarczać. Stopniowo dopiero, w miarę rozwoju kulturalnego i wzrastającej wymiany, przestaje być tak szczelnie zamknięte: niektóre artykuły można nabyć wzamian za inne, wytworzone na miejscu. Z jednej strony zatem, niema potrzeby wszystkiego samemu produkować, z drugiej zaś, nie wszystkie wyprodukowane artykuły zostają zużyte na potrzeby własne.

Ewolucya i przewroty, jakie dokonały się w życiu gospodarczem, doprowadziły do tego, że obecnie gospodarstwo domowe zostało niesłychanie ograniczone w swoim zakresie.

I tu stoimy właśnie wobec przyczyny, która, sprowadzając do minimum sferę zajęć domowych — i potrzebując dla innych celów większej ilości rąk roboczych — z jednej strony, wypchnęła kobietę z domowego zacisza na szerszą arenę, tworząc zastępy proletaryuszek oraz burżuazyjnych emancypantek, z drugiej zaś, z gospodarstwa wytwórczego kobiecego uczyniła dziedzinę zupełnie różną i nową. Gospodarstwo wytwórcze kobiece dzisiaj — nie posiada ani jednej z dawnych swoich cech, to znaczy nie ma na celu bezpośredniego opędzania potrzeb swych domowników, lecz stawia sobie zadania o wiele szersze: chodzi mu o wytwórczość na większą skalę, mającą stanowić źródło bogactwa materyalnego. Gospodarstwo wytwórcze, rozpatrywane w tem, nowem ukształtowaniu, przedstawia jeden z najwybitniejszych czynników dobrobytu ekonomicznego oraz postępu kulturalnego danego społeczeństwa.

A że prawem tradycyi, prawem dziedzictwa należy do kobiet — kobiety zyskują w niem szeroki i piękny teren do pracy— teren, mogący przynieść złote plony. Dotyczy to w szczególności panujących w naszym kraju stosunków. Bo dziedzina ta u nas dotąd jeszcze leży odłogiem. Gospodarstwo rolne wiejskie w ostatnich dziesiątkach lat posuwa się ogromnie żwawo naprzód. Rolnicy poczynają zrywać z zaśniedziałą, tradycyjną rutyną, stosują wyniki teoretycznej wiedzy. Ale zato gospodarstwo wiejskie, w tem znaczeniu, o jakiem wspominałam na początku, gospodarstwo wymagające mniejszego terenu — ale zato większego nakładu pracy — znajduje się jeszcze w okresie embryonalnym.

Tymczasem faktem oczywistym, teoretycznie wyjaśnionym i statystycznie potwierdzonym — jest, że rozwój ekonomiczny gospodarstwa rolnego dąży do rozdrobnienia większej własności ziemskiej, do decentralizacyi, do wytworzenia niewielkich działków, których właściciele muszą z konieczności, w celu zdobycia niezbędnych środków utrzymania, stosować intensywniejszą gospodarkę. Nasz kraj czeka pod tym względem taż sama przyszłość, która stanowi teraźniejszość dla takiej np. Francyi: własność ziemska przedstawiać się będzie w postaci kilkowłókowych lub kilkudziesięciomorgowych ferm—oraz wielkich, gdzieniegdzie rozproszonych latifundyi.

Takie fermy przedstawiają właśnie znakomity teren dla wytwórczości kobiecej, o którą nam chodzi.

Stosowana do nich intensywna gospodarka — może przynieść nieobliczalne kulturalne i materyalne skarby.

Trzeba tylko, aby ogół uświadomił sobie należycie pożytek, płynący ze skierowania umysłów i rąk kobiecych, szukających odpowiedniej sfery działania — w tę dziedzinę. Dzisiejsze warunki ekonomiczne coraz wyraźniej tak się układają, że wysuwają kobietę narówni z mężczyzną na rynek pracy. Procent kobiet, zatrudnionych w przemyśle, handlu oraz innych zawodach, stale się zwiększa w niezmiernie szybkiem tempie.

I tak np. w Anglii od r. 1841 do roku 1891, kiedy ilość robotników wzrosła o 53%, ilość robotnic podniosła się o 221 prc. Obecnie w przemyśle angielskim pracuje 1.840.000 kobiet, które stanowią 25 prc. całego ogółu robotniczego fabrycznego w Anglii. W Niemczech w przemyśle fabrycznym i górniczym pracuje razem 1.500.000 kobiet na ogólną sumę 6.700.000 mężczyzn robotników. U nas, według spisu jednodniowego z r. 1897, na każdym 100 samodzielnych proletaryuszów przypada 36 kobiet. A gdzie armia pracownic kancelaryjnych i biurowych? (Anglia na pocztach i w telegrafach zatrudnia przeszło 25.000 kobiet). Gdzie wyrobnictwo nauczycielstwa, spoczywające przeważnie w rękach kobiecych? Wobec tych kroci owych cyfr, w których i nasze stosunki dotrzymują placu — minimalną, a nawet żadną, wyda się liczba kobiet, zatrudnionych w gospodarstwie wiejskiem wytwórczem, którego organizacya jest u nas dopiero kwestyą przyszłości.

Weźmy nasze samodzielne kobiety z inteligencyi. Kształcą się one wszystkie w kierunku handlowym, biurowym, pedagogicznym i mnożą bezustannie zastępy pracownic, którym coraz trudniej o znalezienie odpowiednio popłatnego stanowiska. Żadna zaś z nich prawie nie zwróci się w stronę wytwórczego gospodarstwa wiejskiego, które przedstawia przecież o tyle szerszy, o tyle wdzięczniejszy, o tyle zyskowniejszy pod względem ekonomicznym warsztat zajęć.

Czas już najwyższy, aby kobiety nasze pojęły jasno, że nieobliczalnie wiele uczynią i dla osobistego i dla ogólnego dobra, *uprawiając leżącą dotąd odłogiem dziedzinę gospodarstwa wytwórczego.*

W tem miejscu niepodobna nie zwrócić uwagi na charakterystyczny dla naszego inteligentnego ogółu objaw poniżania i pogardliwego traktowania wszelkich zajęć praktycznych. Zajęcie w biurze, polegające na mechanicznie jednostajnem zestawianiu cyfr oraz bilansów — bywa o wiele więcej cenione, o wiele więcej poszukiwane, niż samodzielna, wytwórcza praca ogrodniczki, hodowczyni lub pszczelarki. Jest to przesąd, wypływający z naiwnego i błędnego mniemania tych, którzy sądzą, że praktyczna sfera działalności nie wymaga wcale najmniejszej inteligencyi, że biorą w niej udział tylko mięśnie — nigdy mózg. Zbytecznem chyba zwalczać ten przesąd jakiemiś poważnemi argumentami, zanadto bowiem oczywisty jest fakt, że prowadzenie racyonalnej hodowli drobiu lub racyonalnej pasieki — wymaga o wiele więcej sprytu, inteligencyi, szybkiego oryentowania się, aniżeli automatyczna praca rutynowanych biuralistek. Co się zaś tyczy umiejętności i wykształcenia w tym kierunku, to przedstawia ono sprawę o wiele trudniejszą, niż przygotowanie, jakiego wymaga przeciętna praca biurowa. Dotyczy to szczególniej naszych warunków, gdzie wogóle gruntownego wykształcenia w tej dziedzinie osiągnąć nie można skutkiem braku odpowiednich uczelni. Być może, iż jedną z przyczyn przeciwdziałających w naszym kraju bujniejszemu rozwojowi gospodarstwa wiejskiego — jest brak fachowych szkół oraz kursów, tak, że nabycie niezbędnych wiadomości związane jest z trudnościami wyjazdu za granicę. To też palącą kwestyę stanowi zapoczątkowanie akcyi w tym kierunku. Jednostki dobrej woli, posiadające dobre chęci oraz możność finansową, powinny zakładać wzorowo prowadzone fermy, na podobieństwo tego rodzaju urządzeń za granicą, np. w Niemczech przyczem niezbędne jest zainicyowanie jak Niemcy, gdzie istnieje cały szereg odpowiednich uczelni. U nas prócz kursów rocznych pszczelniczo - ogrodniczych, istniejących przy Towarzystwie pszczelniczo - ogrodniczem w Warszawie, oraz szkoły gospodarczej w Chyliczkach, o której już wspominałam, mówiąc o gospodarstwie domowem, nie posiadamy ni, żadnej odpowiedniej szkoły. (Chodzi mi tylko o Królestwo — o stosunkach, panujących pod tym względem w Poznańskiem, w Galicyi oraz na kresach umyślnie nie wspominam).

Dużo się mówi w ostatnich czasach o podniesieniu gospodarstwa wiejskiego — a do takiego podniesienia przyczyniłby się znakomicie rozwój wytwórczości kobiecej. Warunki miejscowe wróżą mu jaknajlepszą przyszłość—trzeba tylko rozumniej inicyatywy i czynu, jaknajwięcej czynu!

(d. c. n.).

L. Henikowska.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

BARBARA TRYŹNIANKA.

— Dać, to może ona by dała, bo jak mi niemowa wykładała na migi — ten pański stryj mądry był i dobry — i pewnie umiał wybrać stosowną wykonawczynię swej woli. Ale — takie słowo: być człowiekiem — to jak zacząć w myśli sobie tłómaczyć — a szukać wokoło — do kogoby dopasować — to niema. Ja rozumiem — że gdybym przeszukała przez całe swe życie — to tak na czysty sąd — nie znalazłabym tylu, co palców na ręku.

Pan młody i bujny — dla siebie pan by nie potrafił tyle sobie męki zadać — a jakby pan sprzedał swe prawa — to dla mnie by się pan miał mordować.

To taka robota: ludzie po wierzchu

mają ciało, a we środku duszę — a człowiek powinien się całkiem przenicować: Duszę trza mieć za wierzch — a ciało za podszewkę.

Cudakiem trza się zrobić dla ludzi— bodaj pośmiewiskiem.

Jeszcze opłaciłoby się dla miliona— ale żeby ten milion wzięła za ten cały trud jakaś Malecka z Drobiny!

Tomek wstał, wziął kapelusz.

— Żegnam panią — warknął.

— Obraziłam pana. Bóg świadkiem, nie chciałam.

— Może być. Nie zastanowiłem się, że moja propozycya tak logicznie wygląda, więc ją cofam. Nie miałem zamiaru nicowania siebie dla miliona i zadawania sobie trudu skarbienia łask jakiejś mitycznej Tryznianki ani dla siebie, ani dla pani.

— Ale gdybym panu dała na to pieniądze, toć by pana korciło — że mogę stracić?

— Nie myślałem o tem.

— To niechże pan pomyśli.

— Pani mówiła, że przez parcelacyę wyjdzie na swoje.

— Albo ja wiem. Kłopot, ambaras, mitręga. A panu by też nie w smak było, żeby stary wasz dwór poszedł na cegłę i drwa.

— Mnie—wszystko jedno. Ja już— Jan bez ziemi.

— Oj — byle nie Tomasz bez głowy. To pan tu niedawno z Warszawy przyjechał, bo w Zagajach pana brat rządzi.

— Dziś przyjechałem. Chcę na jutrzejszą licytacyę popatrzeć. Pani pewnie też tam będzie.

— A poco. Pani Puławska już się ułożyła z żydkami. Tylko Icek Liberman trochę jej krwi napsuje — bo go pan Strażyc podstawił — na jakieś meble.

— Pani ma dobrą policyę.

A cóż, sporo tam mojego grosza, to się człowiek turbuje, jak o własne. Ale brat pana dostał teściową, co umie cienko prząść. Nie zginie on z taką. Żeby panu taka się udała.

— Zastrzeliłbym babę za stodołą — i na psy zatrąbił! Tymczasem—żegnam panią.

— Da mi pan wiedzieć, jak postanowi?

— Zapewne nie. Widzę — żem zrobił bezmyślną propozycyę — i pewniebym danego słowa nie myślał dotrzymać.

Gdy wstał, by odejść, — niemowa spojrzała nań życzliwie — i mocno uścisnęła jego dłoń. Malecka nie podniosła oczu od grochu i rzekła spokojnie:

— Jak pan uważa. Chyba nie grzech, że swojego pilnuję.

— Owszem — ma pani racyę. Życzę pani pomyślności i korzyści z tych pieniędzy!

Z rękami w kieszeniach, gwiżdżąc— poszedł ścieżką przez brzozowy gaj — zdziwiony, że nigdzie we dworku nie widział Zuzi — ale zaledwie się oddalił kilkaset kroków, dziewczyna wynurzyła się z pomiędzy drzew.

Miała w ręku zawiniątko w chustce i rozśmieszone uciechą oczy.

— A to się panicz nie mógł nagadać z temi babami — myślałam, że się nie doczekam.

— Co ty nosisz za kukłę.

— Dziecko! W lesie wzięto, w chacie zgięto — na ręku płakało. To paniczowe — hodujcie!

Podała mu, rozwinął i zdziwił się.

— Skrzypce. Bodaj moje własne?

— Toć mówię! — śmiała się.

— Skąd je masz?

— Wykradłam z pałacu.

— No to je, z łaski swej — odnieś.

Toć opisane ze wszystkiem, co jest w domu.

— Jak panicz chce, to odniosę — ale chyba w nocy — może panicz na nich trochę zagrać tymczasem — pójdźmy za brzeźniak nad strugę, w te wikliny — tam żywa dusza ni zajrzy, ni posłyszy.

Tomek nic nie odparł, począł, idąc za dziewczyną, cichutko stroić instrument, potem jakąś melodyę snuć, i wreszcie zapomniał o wszelkich sprawach, i bezwiednie znalazł się w pustym zakątku zarośli nadwodnych, opodal od ludzi — wśród ciszy pól.

Stara wierzba, cudacznie pokrzywiona, tam stała, a było to miejsce ich schadzek, gdy chłopak o zmroku — szedł z flintą, niby na ciągi słonek.

Usiadł na wierzbowym konarze — Zuzia przygarnęła się do jego kolan, głowę o nie wsparła — i słuchając grania, milczała,—tylko niekiedy z wielkiej szczęśliwości całowała jego nogi.

Zupełny zapadł zmrok, gdy się ocknął z zamyślenia — smyk zgrzytnął po strunach i umilkł.

— Dobre to drewno! — mruknął, łaskawie rękę kładąc na głowie dziewczyny.

Ale trza je odnieść, Zuziu. Jakeś je wykradła?

— Jaśka z kredensu zbałamuciłam. Poszłam do niego na noc — a jak usnął— tom się wymknęła do pustych pokojów— wzięłam — i już.

Nie dokończyła, kopnięta nogą z taką siłą, że potoczyła się w krzaki. Zerwała się prędko, a Tomek bez słowa skrzypce na wierzbowej rososze położył i zawrócił w gąszcz. Za nim się rozległ śmiech dziewczyny, szczery, pełen rozradowania.

Obejrzał się — splunął.

— Bydlę! — warknął.

A dziewczyna zabrała skrzypce, owinęła je napowrót w chustkę i szła za nim.

— By je odnieść, trza mi znów do Jaśka iść — rzekła wciąż ze śmiechem.

Stanęli naprzeciw siebie, i nagle zebrał w rękę jej włosy, szarpnął, potrząsnął. Pomimo bólu, patrzała jasno w jego złe oczy.

— Nie chce panicz, bym szła? Powiedźcie?

— Byłaś? — spytał zmienionym głosem.

A dziewczyna ramionami objęła go za szyję i śmiała się.

— Nie trza Zuzi warkoczów wydzierać, sokole cudny! Rozplecie Zuzia swe kosy, pod głowę pościele, żeby trawy nie kłuły! Moje miłowanie, moje jasne zorze — mój królewiczu!

— Byłaś? — powtórzył groźnie.

— Bijże, bij! niech się ucieszę — że o mnie stoisz! Bijże, bij! — jak swoją!

— Łgałaś, szelmo?

— A juści! Nie słyszałam nigdy z panicza ust — dobrego słowa — a ot — dopierom się ucieszyła! Taki panicz mądry, a oszukałam. Uwierzył — i bić chciał. Chodźcie — pokażę wam, którędym skrzypki wzięła już ciemno — pójdźmy!

Ruszyła naprzód, na przełaj—polami.

Przy sztachetach parku — wynalazła przejście nieznaczne — wślizgnęła się, jak kuna, i poprowadziła go pod pałac.

Tam ze zwinnością wiewiórki wdrapała się na lipę u balkonu, dosięgnęła okna piętrowego — skoczyła do środka.

Ubawiony — poszedł za nią po tej karkołomnej drodze. Gdy się znaleźli w pustym, gościnnym pokoju, spytał:

— Pocóż tyle zachodu. Masz okna na dole.

— Aha — tamte zamykają na noc — i lokaje by spostrzegli, żebym szybę wybiła, a te zawsze otwarte. Tu się zakradłam — poczekałam, aż się pospali — i boso zeszłam na dół. Zobaczy panicz — jak te dranie mocno śpią — połowę mebli można tak powynosić. Dziś się tam jeszcze tłuką, bo na panicza czekają — a jak nikogo nie było — to albo szli na wieś hulać, albo w karty grali w kredensie. Niechże panicz wróci po lipie — i przez ganek wejdzie — i tu mi z dołu tamte skrzypce przyniesie.

— Jakie, tamte!

— Ano — bom ja kupiła inne — i zamieniłam. Juści, trza było jedne zostawić, boby się obejrzeli. Takem se wszystko przemyśliła.

Teraz Tomek zachichotał ze złośliwej radości zręcznego figla.

— Jakeś tak przemyśliła, to ci trza sprawić zato na tych skrzypkach wesele. Udałaś mi się, Zuziu! A skacz dobrze na lipę, bo szkodaby było, żebyś żywa nie została.

Noc była cicha, pogodna, ale bez miesięczna. Ktoby się wsłuchał w szmery pól, posłyszałby wśród łanu dojrzewającego owsa delikatne brzęczenie smyka po strunach na nutę obrzędowej, weselnej pieśni:

Wyjeżdżając z nami nasza młoda pani.
Zdejm ruciany swój wianeczek z kółka nade-[drzwiami.

A potem piosenka ucichła, tylko się wabiły przepiórki — i grały świerszcze.

Tak w tę noc letnią żegnał Tomek swe rodzinne gniazdo — i ziemię, i byt dworskiego panicza — i pierwszy okres swej beztroskiej młodości. *(d. c. n.)*

Wolna miłość w powieści.

Na mojem sprawozdawczem biurku spoczęły dwie książki, które, niezależnie od swych literackich walorów, stanowią ciekawe dokumenty nurtujących naszą współczesność niezadowoleń i dezyderatów. Wśród ogólnych protestów przeciw istniejącemu porządkowi świata jednym z coraz głośniej odzywających się jest niezadowolenie z dotychczasowej formy małżeństwa.

„Niedobrze człowiekowi być samemu“ mówi Pismo Święte; zaś dzisiejsi reformatorowie, nie przecząc zasadzie ,twierdzą, że jeszcze gorzej bywa człowiekowi we dwoje, gdy go skują nierozerwalne pęta.

Szukają zatem lekarstwa na to zło w... wolnej miłości. Ale wolna miłość, choćbyśmy nawet wyeliminowali z tego zagadnienia względy etyczne, względy moralności chrześciańskiej, nie rozwiązuje kwestyi. Cała bowiem jej swoboda tak się wikła w pętach, jakie nakłada na nią samo życie, że dopóki obecny, cywilizowany ustrój społeczeństw nie przewróci się do góry nogami, dopóty bezspornym i błogosławionym terenem wolnej miłości pozostaną... wyspy bezludne.

Poza ich obrębem wszędzie będzie jej ciasno i nieswojsko; a wyznawcom jej, zwłaszcza też wyznawczyniom smak jej owoców bardziej piołunem niż miodem się zaprawi.

Że tak jest, tego podjął się dowieść zawsze pełen młodzieńczego zapału, gdy chodzi o obronę ideałów, jakim od zarania swej pisarskiej działalności służył, Teodor Jeske Choiński w powieści zatytułowanej: *„W pętach wolnej miłości“*).*

*) Teodor Jeske Choiński: „W pętach wolnej miłości“. Powieść współczesna. Nakład Gebethner i Wolffa, Warszawa.

Ładna, szlachetna z natury panna Zofia Marchowska pragnie szerszych lotów dla swego umysłu i kończy studya filozoficzne w Zurychu. Opiekun jej i dobroczyńca, stryj, stary kawaler, milionowy dziwak, chętnie łoży na wyższe wykształcenie synowicy, w nadziei, że nauka nie skrzywi jej charakteru, lecz, przeciwnie, rozwinie przyrodzone dary jej duszy.

Doznaje wszelako zawodu. Panna Zofia poza dyplomem doktora filozofii przywozi do cichego, wiejskiego dworu stryja ogromny zapas lekceważenia wszelkich tradycyi i tym podobnych „przeżytków“, a między innemi i małżeństwa.

Stary p. Marchowski ma dla niej upatrzonego męża w towarzyszu jej zabaw dziecinnych, dzielnym, bogatym Stefanie Popowskim, lecz Zofia, gardząc zacofaną, prosto do ołtarza wiodącą miłością młodzieńca, przenosi nad niego szlifierza warszawskich salonów, Stanisława Zarembę. Ten, spędzając przypadkowo wakacye na wsi u kolegi szkolnego, poczęści z nudów a poczęści z wyrachowania zastawia sidła szumnie brzmiących ultra postępowych frazesów i umiejętnie stosowaną taktykę miłosną na zapalną głowę i bujne zmysły niedoświadczonej dziewczyny.

Rezultat jest taki, że Zofia, zabrawszy swe rodzinne klejnoty, które zresztą stryj za własne pieniądze wykupił z rąk żydowskich, w jakich je jej lekkomyślni rodzice zaprzepaścili, a które to klejnoty same w sobie stanowią pokaźną fortunę, opuszcza potajemnie dom stryja i zjeżdża do Warszawy, by tam rozpocząć życie „swobodnych wzlotów“, jakie jej się uśmiecha.

Bywa tedy i przemawia na feministycznych zgromadzeniach, agituje i, teorye swe popierając czynem, jawnie zawiera „wolny“ związek z Zarembą, wierząc głęboko, iż spełnia coś ogromnie wzniosłego i niepospolitego.

Ów Zaremba jest rodzajem niebieskiego ptaka. Sprytny, elegancki, inteligentny, utrzymuje się przeważnie ze szczęśliwej gry w karty i czepiania się złotych klamek. Pozatem bałamucenie kobiet stanowi główną treść jego życia.

Stosunek z Zofią podwójnie mu dogadza. Ten doktór filozofii w spódnicy nęci go urokiem nowości; nie miał bowiem dotąd w swym repertuarze uczonej kochanki, a jej pieniądze dopomagają mu do przetrwania epoki niepowodzenia w kartach, które go właśnie prześladuje.

Młoda para, spędziwszy miodowe miesiące w Warszawie, jedzie do Monte Carlo. Tam Zarembie uśmiecha się znów fortuna. Wygrywa znaczną sumę, a że równocześnie przejadła mu się już wolna miłość, więc zwróciwszy Zofii co do grosza swój „dług“, porzuca ją bez skrupułu, pomimo że w łonie nieszczęśliwej kobiety drgnęło już nowe życie. Ale dla wyznawcy wolnej miłości taki wzgląd, to fraszka.

Biedaczka poznaje zapóźno, jak straszną pułapką dozgonnej niedoli może się stać wolna miłość, i, kto wie, czem by się ten życiowy eksperyment skończył dla niej, gdyby nie zacny stryj, który zdaleka nie przestał czuwać nad nią i przybywa w porę, by otoczyć ją znów opieką, pomściwszy wprzód w pojedynku hańbę synowicy śmiercią uwodziciela.

Z innego zupełnie punktu oświetlił problemat wolnej miłości p. Maciej Wierzbiński w powieści *„Małżeństwo na próbę“*)* aczkolwiek osoba głównego bohatera należy do tej samej rodziny życiowych kuglarzy, co Zaremba. Tylko p. Edward Kostanecki ma trochę serca, a chęć łatwego użycia nie wygnała z jego duszy wszelkich lepszych instynktów. Posiada też wybitny talent pisarski, ale nie chce mu się pracować, a że przywykł do wygód i wykwintu, nie widzi zatem innego wyjścia z tego dylematu nad bogaty ożenek.

W tym celu jedzie na wieś w konkury do posażnej panny Izi, która, poznawszy w Warszawie gładkiego i zajmującego salonowca, zaprasza go na lato do domu ojca, by sobie uprzyjemnić wakacye do niczego nie obowiązującym flircikiem. Małżeństwo z gołym literatem ani jej w głowie. Na męża weźmie bogatego ziemianina, wpatrzonego w nią, jak w tęczę, p. Kropickiego, który jednak po ślubie potrafi ją zawojować. I smutnem fiaskiem skończyłaby się dla p. Edwarda ta wyprawa po złote runo, gdyby panna Izia nie miała kuzynki, ładnej, dobrej, mądrej (tak przynajmniej zapewnia autor) i niezłą rentą rozporządzającej Basi.

Basia rozkochuje się na umor w p. Edwardzie i, przejęta uwielbieniem dla jego talentu, nie chcąc krępować jego orlich lotów, przyjmuje ochotnie rolę nieślubnej żony, co oczywiście p. Edwardowi dogadza, jak nie można bardziej.

Będzie miał wszystkie dobre strony małżeństwa, bez tej jednej niemiłej, która się nazywa ślubną obrączką!

Szczęściem dla dziwnie bezinteresownej Basi, współżycie z nią tak przypada do gustu jej „wolnemu“ małżonkowi, że wkońcu ten, jak dobry pasza, decyduje się dać na zapowiedzie, ona zaś przyjmuje tę wiadomość z wdzięczną pokorą odaliski, jak zgoła niespodziewaną łaskę.

Niechże Bóg broni, aby społeczeństwo nasze obfitowało w takie pokorne owce, pozwalające się strzydz bezkarnie, nawet najbardziej „utalentowanym“ wyzyskiwaczom. Ofiarna (?) miłość Basi, w zasadzie prawdziwa, ma w sobie jednak coś służalczego i pozbawionego poczucia osobistej godności.

W obu tych powieściach, które, jak zaznaczyłam, wiąże pokrewna nić tematu, ujawniły się właściwości pisarskich temperamentów ich autorów:

W Choińskim polemista bierze tu i owdzie górę nad artystą; niektóre postacie zdają się być po to tylko wprowadzonemi w akcyę, by przez ich usta autor mógł wypowiedzieć swoje poglądy.

W Wierzbińskim przeważa satyryk, z pewnym pobłażliwym sceptycyzmem odnoszący się do życia. Nie wpada on nigdy w zapał błędnego rycerza, który każdego przeciwnika swych ideałów gotów wyzwać na udeptaną ziemię, a nawet walczyć z wiatrakami.

*) Maciej Wierzbiński: „Małżeństwo na próbę“. Powieść.

Obserwacye swoje zaprawia autor „Małżeństwo na próbę“ humorem, zlekka, na angielski sposób szarżowanym.

Choiński sięga głębiej; Wierzbiński z większą swobodą żongluje sytuacyami. Obaj są warci, by ich czytać!

Hajota.

Ze świata przyrody.

Obawa przed mikrobami. — Podstępny mikrob. — Prace p. Blanchard i p. Surcouf. — Komary. — Muszki i febra. — Choroba snu i paraliż dziecięcy. — Mikroby... podtrzymują życie.

Jesteśmy otoczeni wrogami niewidzialnymi, a od czasu, gdy Pasteur ujawnił ich wszechobecność, żyjemy w nieustannej trwodze. Reputacya mikrobów jest już tak zła, że jej pogorszyć niesposób. Ludzie dotknięci obawą, chciałoby się rzec: manią mikrobów, boją się jeść, boją oddychać. Przedsiębiorą najrozmaitsze środki ostrożności. Czy skuteczne? Niekiedy mają one czysto symboliczne znaczenie. Nie zadają szwanku podstępnym mikrobom. Są one tak lekkie, że żadne sidła złowić ich nie zdołają. Takiemi zdradzieckiemi drobnoustrojami są bakterye odry, szkarlatyny, influenzy, żółtej gorączki i wielu, wielu innych chorób. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Wychodząc może z tej zasady, Instytut Pasteura w jednym ze swoich ostatnich biuletynów *) podaje spis owadów, będących rozsadnikami zarazy.

Gdy ukąszą człowieka lub zwierzę, przez czas pewien zostawione przez nie mikroby pozostają na powierzchni skóry lub szerści. Giną szybko, lecz mogą przybierać inną postać i rozmnażać się w organizmie.

Moskity, muchy są najgorliwszymi roznosicielami mikrobów, użyczają skrzydełek tym samym pyłkom i roznoszą je szybko. Każdy gatunek muchy i moskita ma jakby swoją specyalność, to też przyrodnicy w ostatnich czasach poświęcili się badaniu tych owadów. Profesor paryskiej Akademii medycznej, Rafael Blanchard, napisał „Historyę naturalną i medyczną moskita“, zawierającą nietylko opis jego licznych gatunków, ale i wszystkich jego metamorfoz, a także sposobów strzeżenia się od tej plagi. P. Surcouf poświęcił się opisowi much, spotykanych w Algierze i w strefach zwrotnikowych.

Brzęk komarów nie jest groźny w Europie. Przyrodnik sir Ronald Ross wykazał wprawdzie, że roznoszą one malaryę, lecz tylko wśród ptaków. Ludzie dostają malaryi od ukąszenia innego owadu: anofela — o centkowanych skrzydełkach. Różni się od zwykłego komara tem, że jego ryjek ma dwie długie macki, które u zwykłych komarów bywają króciutkie. Tylko samiczki są zjadliwe i niebezpieczne. Ale można je usprawiedliwić. Ich krwiożerczość wynika z troski o jajeczka i o utrzymanie gatunku.

Moskity roznoszą nietylko mikroby malaryi, ale i żółtą febrę. W krajach gorących przez ukąszenie wprowadzają w ciałka krwi laseczniki różnych chorób i przenoszą je z organizmu na organizm.

Psy padają ofiarą malutkich muszek szeroko-skrzydłych, fruwających rojami całemi dokoła wód, gdzie składają jajeczka. Znajdują się pod wszystkiemi stopniami szerokości — od równika do biegunów. Samce są nieszkodliwe, spijają nektar kwiatów; żarłoczność samiczek niesłychana. Dokuczają tak samo motylom, jak i wołom. Oskarżone są o szerzenie trądu, lecz śledztwo w tej sprawie nie zostało jeszcze ukończone — brak materyałów rzeczowych. Mucha tse-tse — stref podzwrotnikowych—jest rozsadnikiem strasznej choroby snu; szczeyi ją nietylko ludziom, lecz i zwierzętom, między innemi—krodylom. Matki boją się jej gorzej od zarazy, albowiem sprowadza u dzieci paraliż częściowy: ręki, nogi, niekiedy nawet o śmierć je przyprawia.

Pewien gatunek pchły (ceratophyllus), gnieżdżąc się w szerści szczurów oraz innych gryzoniów, szerzy różne zarazy, przedewszystkiem dżumę.

Nad brzegami morza Śródziemnego, wśród ludności ubogiej, żyjącej w brudzie, grasują dwie ciężkie choroby: febra i tyfus egzentemiczny. Febra zaczyna się nagle atakiem, trwającym dni trzy, cztery, poczem chory wraca do zdrowia. W kilka tygodni przychodzi znowu atak—krótszy — i znowu następuje nagłe wyzdrowienie. Trzeci atak bywa zwykle śmiertelny; jeśli jednak przejdzie szczęśliwie, już się febra nie ponawia. W tyfusie egzentemicznym, oprócz gorączki, występuje podskórna wysypka.

Doświadczenia, przeprowadzone bardzo sumiennie przez pp. Nicole, Blaizot i Conseil, stwierdziły, że sprawcami obu tych epidemii są — wszy. Dlatego obie zarazy szerzą się tylko wśród ludności ubogiej, która na południu żyje w większym jeszcze brudzie, niż na północy.

Tylu zbrodniami obciążyliśmy mikroby, że należy im się pewna rehabilitacya. Wprawdzie prof. Miecznikow twierdzi, że bakterye, gnieżdżące się w naszej skórze, sprowadzają śmierć przedwczesną i że moglibyśmy żyć kilkadziesiąt lat dłużej, gdyby nie one; lecz wzamian prof. Schotelius z Fryburga w ostatnim zeszycie „Kosmosu“ ogłasza wynik swych badań, dla mikrobów przychylniejszy. Chcąc stwierdzić, czy są one istotnie szkodliwe, hodował kury, żywiąc je ziarnem, pozbawionem wszelkich bakteryi. Zniesione przez nie jaja składano w dezynfekowane wylęgarki. Gdy kurczęta się wylęgły, żywiono je dezynfekowanemi ziarnami prosa, dezynfekowanemi skorupkami jaj. Sterilizowane kurczęta odznaczały się ogromnym apetytem, większym daleko od zwyczajnych. Mimo to rosły wolniej i po dwuch tygodniach istnienia straciły 32 procent na wadze, wówczas gdy zwykłe kurczęta w tym samym okresie przybrały 117 procent. Pierwsze żyły krócej od drugich. Przekonano się zatem, że mikroby mają właściwości nietylko destrukcyjne. Te badania zostały zresztą poparte innemi, czynionemi na roślinach, a głównie na łubinie, z takim samym wynikiem. Więc i w przyrodzie sprawdza się przysłowie optymistów, że niema złego, któreby na dobre nie wyszło.

*) „Bulletin de l'Institut Pasteur“, tome X, et 30 mars 1913.

Zdobycze techniki.

Skóra z bakteryi.

Skóra z bakteryi? Ależ to chyba żarty — pomyśli niejedna z Czytelniczek. Tak samo myśleli zapewne w pierwszej chwili także urzędnicy berlińskiego urzędu patentowego, kiedy znane niemieckie Towarzystwo przemysłowe Auera zgłosiło wynalazek, celem uzyskania patentów. A jednak była to prawda, najoczywistsza prawda, praktyczne wykorzystanie przez technikę odkrycia, dawno już dokonanego przez uczonych.

Jak wiadomo, kultury bakteryi hoduje się w tak zwanych spożywkach, roztworach, umożliwiających rozwój i rozmnażanie się bakteryi. Obok spożywek płynnych istnieją także stałe, do jakich należy naprzykład żelatyna. Bakterye i grzybki, hodowane na takiej stałej spożywce, tworzą równomiernie gęsty i równomiernie gruby pokład.

Otóż wspomniane Towarzystwo Auera wpadło na oryginalny pomysł fabrykowania z tej murawy grzybkowej, jeżeli można ją tak nazwać, sztucznej skóry. Sposób fabrykacyi jest dosyć prosty: przedewszystkiem wyciska się z pokładu bakteryi nadmiar wilgoci, potem utrwala się go przez napojenie białkiem lub roztworem kleju, a wreszcie ugniata w specyalnych prasach. I już skóra gotowa; garbuje się ją podobnie jak skórę naturalną, od której zresztą dość trudno ją odróżnić. Ponieważ można hodować pokłady grzybków na dowolnie wielkiej przestrzeni, więc i wielkość sztucznych skór może być dowolna. Fabryka Auera szuka teraz jedynie sposobu pogrubienia pokładów, co zapewne nie napotka trudności.

Istnieją najrozmaitsze rodzaje bakteryi i grzybków, jedne o nader delikatnej strukturze, inne bardziej grube, dzięki czemu uzyska się różne odmiany sztucznej skóry, od bardzo cieniutkiej na wyroby zbytkowne do ordynarniejszej, nadającej się do fabrykacyi obuwia, kufrów i innych przedmiotów. A dalej: istnieją bakterye zupełnie bezbarwne, istnieją inne o pięknem naturalnem zabarwieniu, żółtem, pomarańczowem, czerwonem, różnych odcieni. Zależnie od doboru, otrzymamy kolorową skórę o żywych naturalnych barwach. Wrazie potrzeby, można też będzie zabarwiać ją sztucznie, co ułatwi zdolność bakteryi łatwego wchłaniania barwików. Że zaś sztuczna skóra będzie nieporównanie tańsza od naturalnej, stanie się dla tej ostatniej niebezpiecznym rywalem.

Oczywiście, pisma wyzyskały odkrycie do szeregu konceptów. Zapowiadają więc na najbliższą przyszłość następujące rozmówki:

— Masz pan naprawdę bardzo ładne rękawiczki. Z jakiejże to skóry?

— Och, to najpospolitsze bakterye dyfteryi!

Albo też ogłoszenie:

„Do zabaw sportowych i polowań najlepsze są nieprzemakalne buty ze skóry bakteryi gruźlicznych“.

Żart żartem. Żadne jednak koncepty nie zmniejszą handlowej doniosłości wynalazku. *William.*

Opisy do N-ru 33-go.

N. 1. Suknia strojna wieczorowa.

Po ekstrawagancyach, jakiemi moda często zapełnia karty ilustracyi, aż odpoczywa oko, patrząc na tę tualetę, pełną spokoju w linii, prostoty w pomyśle i dobrego smaku — w całości.

Na gładkim czarnym jedwabnym spodzie gładka, matowemi paciorkami i dżetem szyta gaza, która spływa po luźno ujętej nizkim gorsetem figurze. Fason sukni niezmiernie prosty, w tyle spinany. Rękawy kimono — rozcięte, spięte na dwie patki i matowe guziczki, całość wykończona drobnym łebkiem z muślinu jedwabnego.

Jako ozdoba, wązki złotego koloru pasek aksamitny i jedna biała aksamitna astra z żółtym środkiem, ostatni produkt ogrodnictwa. Takaż ostra bezpretensyonalnie włożona zdobi głowę, uczesaną z wielką prostotą, a zwoje białej iluzyi, spływając z ramion, wykończają całość. Prawda że suknia ta jest dziełem jednej z najpierwszych firm paryskich, ale raz jeszcze dowodzi, że nic w ubraniu nie zastąpi harmonii i szlachetnej linii. I że wszelkie gonienia za oryginalnością nie da tych rezultatów, jakie daje piękna, prosta, dobrze do danej pory i figury przystosowana suknia.



Kapelusze z płótna i kretonu albo z filcu i fularu.





Kapelusze skromne, codzienne.

N. 2. Suknia spacerowa z żakietem w kwiaty.

Na całość tej bardzo gustownej i łatwej do naśladowania tualety składają się dwa materyały, których kolor dowolny, a wybór materyału, zależny od tego, ile się na suknię przeznacza. I tak: można ją skomponować z materyi na spód, gazy jedwabnej na wierzch i wtedy będzie bardzo kosztowna, co zupełnie zbyteczne w sukniach sezonowych, a można ją zrobić z materyałów bawełnianych i wtedy wypadnie suknia niedroga, a gustowna i do twarzy. Spód jest koloru kawy ze śmietanką, spięty na drobne świecące guziczki. Na to lekko zarzucony żakiet w kwiaty kolorowe z przeważającą barwą żółtą i szafirową w całym tonie. Szafirowa aksamitka stanowi pasek i kokardę małą pod kołnierzem prostym ale ładnie wykończającym szyjkę. Szafirowy aksamit i czarna fantazya z piór zdobią mały, zgrabny kapelusik.

N. 3. Suknia lekka wizytowa z materyału w rzuty.

Suknia, którą widzimy na fig. 3, wnosi owe lekkie fałdy, które są od pewnego czasu zwrotem w zbyt dotąd wązkiej modzie. Coraz częściej już zaczynają pojawiać się draperye, rodzaj *paniers*, tiuniki, a w tej chwili uprzywilejowanym fasonem jest właśnie kombinacya fałd i draperyi, co na osobach szczupłych wygląda estetycznie. Ale kiedy się pomyśli, ile czasu traci krawcowa, zanim to wszystko w harmonijną sprzęgnie całość, to doprawdy przychodzi się do wniosku, że owe fałdy nie przynio-



N. 1. Suknia strojna wieczorowa z magazynu Redferna.

są tyle korzyści, na ile trudu narażają osoby szyjące je.

Niemniej piękna, lekka tualeta z materyału wełnianego lub bawełnianego, dowoli, doskonale ubiera osobę szczupłą, a rękaw z drobną mereżką, guziczkami i falbanką, która otacza także szyję bardzo ładnie dopełnia całość.

Szczególnie ładnie związany jest pasek, zrobiony z miękkiego materyału, zakończony kwastami.

N. 4. Suknia codzienna na ulicę.

Trudno o suknię skromniejszą, a mającą więcej szyku nad tę spódniczkę jasno popielatą z ciemną nitką, złożoną w kilka fałd z tyłu, i bezpretensyonalny żakiet z materyału miękkiego z rękawem prostym, kołnierzem wykładanym, w pasie ujętym prostym paskiem. Pod spodem jest biała bluzka koszulkowa, kołnierz i krawat. Do tego dopasowany modny kapelusik, oto ubranie na ulicę dla każdej kobiety z dobrym gustem, a zwłaszcza dla kobiety pracującej, która nie ma wiele czasu na spędzanie przed tualetą i dopasowywanie sukni.

N. 5. Suknia z żakietem.

Bardzo strojną tualetę w modnych tonach brązowych jasnych i ciemnych widzimy na fig. 5 naszej ilustracyi. Spódniczka gładko ujęta zastębnowaną plisą. Kamizelka, jedna z tych, których modele podawaliśmy niedawno, jest z bardzo kolorowego materyału, haftowanego w duży deseń, i tę zmieniać można dowolnie, co stanowi urozmaicenie tualety. Żakiet jest niezmiernie szykowny z ciemno-brązowego materyału, podbity blado-niebieską materyą z której jest wyłóg na kołnierzu idącym z pod kolorowego kołnierza kamizelki. Misterne odrobienie przodów z małą fałdką od ramienia i pięknie falującego się luźnego rękawa stanowi wdzięczne zadanie dla krawcowej, bo istotnie całość jest nadzwyczaj szykowna, elegancka i nie krzycząca.

Kronika mody.

Wszystkie materyały w duże desenie są bardzo modne.

—



N. 2a.



N. 2. Suknia spacerowa z żakietem w kwiaty.

N. 3. Suknia lekka wizytowa.

Modne są spódniczki z gładkiego materyału, nawet plisowane, a do tego luźne, jakby narzucone żakiety w duży deseń, najczęściej, bardzo kolorowych tonach.

—

Materyały w duży rzut są bardzo noszone. Jest to moda mało mogąca mieć zastosowania w skromnych toaletach, bo się nadzwyczaj prędko opatrzy.

—

Modny bardzo jest taki fason: Spódniczka gładka. Bluzka w deseń. Pasek szeroki z dwuch materyałów, gładkiego i w deseń, związany w dużą kukardkę na boku z szarfą w dwuch materyałach.

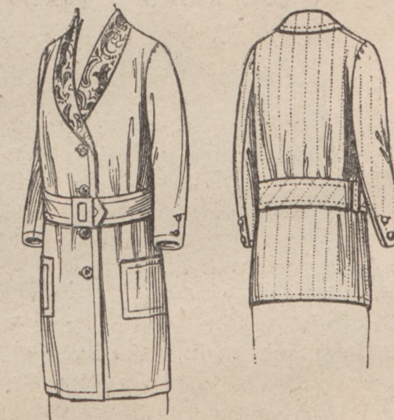
—

Suknia z jednego materyału cała, z wyłożeniem z białebo batystu, rodzaj chusteczki do paska. Pasek zaś z materyału kolorowanego w duże kwiaty z kokardką z boku i krótkiemi dwoma końcami.

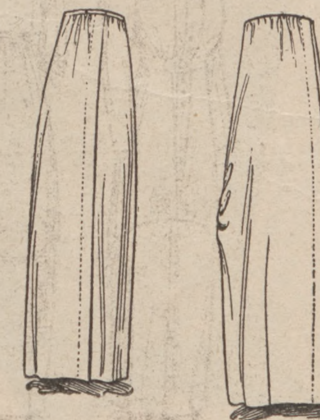
—

Wszelkie guziki bardzo są modne. Małe, dwoma rzędami biegną często na przodzie sukni, stanowiąc jej jedyną ozdobę.

—



N. 3a.



N. 4a.



N. 4. Suknia codzienna na ulicę.

Rękawy modne są długie, garnirowane biało przy ręku.

—

Bluzki nigdy nie wychodzą z mody, wobec spódnicy z żakietem, która bezpodzielnie w modzie panuje. I słusznie. Jest to bowiem najpraktyczniejsze i najwygodniejsze ubranie.

—

Kapelusze noszą bardzo skromne. Nie ubierane wcale lub nadzwyczaj mało. Dąży to widocznie do reform, jak cała rozumna moda. Boć spódnica z żakietem, to już wielkie uproszczenie ubrania, a skromny kapelusz słomkowy, z materyi lub kastorowy gładki są niezawodnie poparciem tej reformy.

—

Kokarda lub pęczek kwiatów — to najszykowniejsze ubranie małych kapeluszy.

—

Spódnice noszą się zawsze na ulicę krótkie. Cała noga jest widoczna. Moda ładna i hygieniczna. Zabezpiecza od wnoszenia do domu pyłu ulicznego.

—

Bluzki fatowane ręcznie i biało i kolorowo długo nie wyjdą z mody. Robota na całą zimę, na wsi zwłaszcza, jest gotowa.

—

Cenę sukni dziś stanowi materyał i robota. Fason jest cierpliwy a nadewszystko *prosty*. Można go naśladować z każdego materyału. Zwłaszcza, że materyały bawełniane bywają bardzo ładne.

—

Szlafroczki z rękawem kimono zawsze są w użyciu. Jest to fason prosty i wygodny.

M.

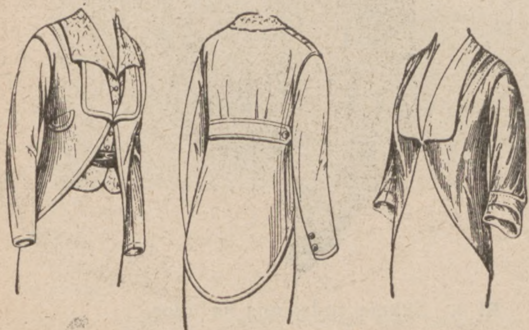
Kapelusze z płótna i kretonu albo filcu i fularu.

Kapelusze skromne, codzienne.

Trudno o modę praktyczniejszą, mniej pretensyonalną i...*tańszą* nad tę, jaką nam dają kapelusiki zaaranżowane z iście paryskim szykiem.

Niema na nich właściwie nic. Wykonane są z płótna, ubrane zwykłym kretonem, muślinem w kwiaty.

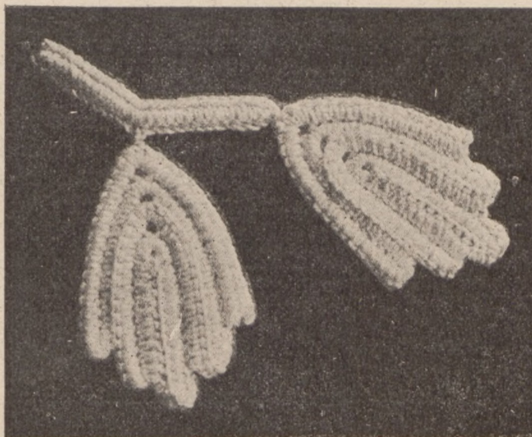
Jeden ma bukiecik róż, rzucony, jako cała ozdoba. Inny kokardkę skromną, jeszcze inny opasany wstążką w kwiaty, słowem, nic na nich niema, coby dużo kosztowało, a są ładne. Może właśnie dlatego, że



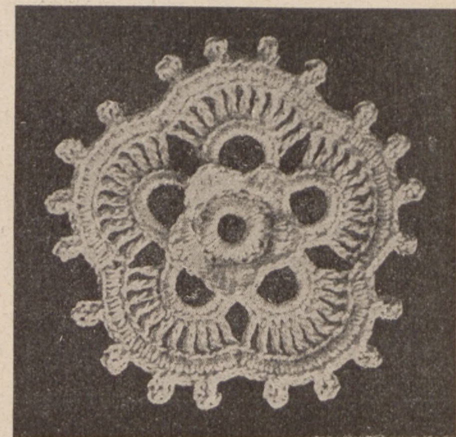
N. 5a.

N. 5. Suknia z żakietem.

nie przypominają indyjskich głów pierzastych, że nie mają rajerów, kit i łokciowych fantazyi, które istotnie czasem dochodzą do śmiesznych rozmiarów. Kapelusze te doskonale można robić z różnych materyałów, dostosowanych do pory roku, każde zgrabne ręce kobiece nie ulękną się tej pracy. Sumy — jakie stanowią dziś wydatki na kapelusze, nie są w zgodzie z tem co się u nas wogóle dzieje. „Związek kobiet skromnego stroju" niezawodnie przyswoi sobie kapelusze, robione z niedrogich materyałów własnemi rękoma. *M.*



Dwa listki do bratka.



Gwiazdka do koronki.

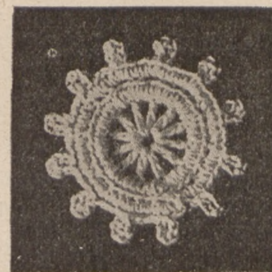
Robota szydełkowa.

Dwa listki do bratka.

Zacząć robotę od środkowej prążki listka i robić na sznureczku 14 o: śc:; 1 o: pow: — odwrócić robotę i z powrotem robi się ze sznureczkiem 13 o: śc: zajmowanych kolejno za tylną nitkę poprzednich o:, 6 o: śc: zajętych w ostatnie o: śc: i w dalszym ciągu z drugiej strony pierwszych o: śc: zrobić 11 o: śc:, 1 o: pow: — odwrócić robotę i z powrotem na sznureczku robić 13 o: śc: zajmowanych za tylną nitkę 5 o: śc: zajętych w jedno o: na czubku i 13 o: śc: po drugiej stronie listka, 1 o: pow: — odwrócić robotę i z powrotem robić ze sznureczkiem zajętych 15 o: śc:, 5 o: śc: w 1 o: śc: na czubku i 12 o: śc: drugiej stronie listka, 1 o: pow: — odwrócić robotę i ze sznureczkiem robić 14 o: śc:, zajętych kolejno o 14 o: śc:, 5 o: śc: w 1 o: śc: na czubku i 14 o: śc: z drugiej strony listka. Obciąć nitkę i zakończyć. — Drugi listek robić tak samo jak pierwszy, a po skończeniu złączyć obydwa ogonkiem, odrobionym w następny sposób: 13 o: pow: przyczepić do czubka drugiego listka, 1 o: pow: i z powrotem przerobić wszystkie o: śc: ze sznureczkiem. Obciąć nitkę i zakończyć.

Mała rozetka i gwiazdka.

Odpowiednie na wązką koronkę, obydwie są bardzo łatwe. Rozetka zaczyna się 5 o: pow: złączonemi szęstem o: n:; 4 o:



Rozetka do koronki.

Kołnierz koronkowy (trzecia część). Deseń ułożyć z różnych figur zamieszczonych w pierwszym zeszycie Kursu Koronki Irlandzkiej.

pow: zamiast pierwszego słupka i dalej w około obrobić 11 sł: przedzielanych 1 o: pow:, złączyć ostatni sł: z czwartem o: pow: początkowem robiąc o: w: i 1 o: pow:. Jako drugi rząd obrobić po 2 o: śc: zajęte za o: pow: między sł: i 1 o: śc: w słupek, ze sznureczkiem—złączyć ostatnie o: z pierwszem i zrobić 1 o: pow:. Trzeci rząd składa się z o: śc: ze sznureczkiem, zajmowanych za tylną nitkę o: poprzedniego rzędu i co trzy o: przedzielanych pikotem. Ostatnie o: złączyć z pierwszem — obciąć i zakończyć nitkę.

Nr. 5. *Gwiazdka* liczy cztery rzędy roboty i zaczyna się kółkiem ze sznureczka otoczonego trzy razy, obrobionem 20 o: śc:; 1 o: w: w pierwsze z o: śc:, 1 o: pow:. W pierwszym rzędzie pięć ząbków, z których każdy składa się z * 1 o: śc:, 1 półsł:, 3 sł:, 1 półsł: i 1 o: śc: odrobionych na sznureczku; 1 o: śc: zajęte w 4 o: śc: kółka — powtórzyć od * cztery razy. W rzędzie 2 robi się na sznureczku ** 1 o: śc: zajęte w drugie z trzech o: śc: kółka, pozostałych pod listkiem, dalej na samym sznureczku robić 17 o: śc: na ząbek zaczepiony 1 o: śc: w kółko środkowe — powtórzyć tak cztery razy od **. W 3 rzędzie zrobić 1 o: śc: w oczko śc: między ząbkami, 4 o: n: zajęte w 4 kolejne o: ząbka *** 3 o: pow: zamiast pierwszego sł:, i 10 sł: przedzielanych każdy 1 o: pow: i zajmowanych w kolejno o: ząbka. Po zrobieniu słupków opuścić 7 o: śc: w zagłębieniu między ząbkami i powtórzyć od *** cztery razy, tylko zamiast pierwszych 3 o: pow: robiąc słupek, złączyć pierwszy ząb z piątym, zrobić 1 o: pow: i zacząć rząd 4 ze sznureczkiem, złożony z o: śc: przedzielanych co cztery 1 p:; w zagłębieniach ząbków opuszcza się 2 o:— ząbek ostatni łączy z pierwszym 1 o: n:. Obciąć nitkę i zakończyć.

IDZIEMY W ŚWIAT.

— Idziemy w świat, a świat co nam przyniesie?

— Co nam da ten świat, do którego wyciągamy z uśmiechem ramiona?

— Czy nie ziębi gorących naszych uczuć, dobrych chęci i wiary w dobro i piękno?

— Co nam da wzamian za tę wiarę?

— Tyleśmy się nasłuchały o ludziach, o ich złości, ale i o dobroci.

— O obłudzie i przewrotności, ale i o prawdzie, o dobrem i o szlachetności.

— Brr! nie chcemy przewrotności i obłudy!

— Chcemy prawdy, piękna i dobra!

— Chcemy pracy!

—Chcemy rozrywki i przyjemności!

— Ach, przyjemności! — przyjemności i zabawy.

— Za wszelką cenę zabawy!

— Dosyć już tej pracy i dni szarych.

— Dosyć było zmartwień, utyskiwań i kłopotów!

— Dość wyczekiwania na orzeczenie całego zastępu nauczycieli, czy praca i nauka nasza coś warta!

— Dziś chcemy odpoczynku, zabawy, przyjemności!

— Każdy robotnik po dniu pracy tego samego żąda, — cóż my dopiero po tylu latach trudów i mozołu.

— Nie chcemy dni słotnych i szarych, chcemy dni jasnych, słonecznych!

— Dni, któreby spełniły nasze dążności, marzenia, — ideały!

— Wszystko nam się powinno spełnić tak, jak chcemy! — wszystko!

— Silnie chcieć, silnie dążyć, żądać gorąco, — to już połowa czynu!

— Wszystkie marzenia trzeba w czyn wprowadzać!

— *Umieć chcieć,* — a my umiemy!

— Och, umiemy! — tyleśmy się uczyły i tyle już przeszkód pokonywały!

Tak rozmawiają, tak marzą i z tem marzeniem idą w świat młode osoby.

I zdaje im się, że ich postanowienia, dążności tak łatwo się spełnią, jak owe przeszkody i trudności, które dotąd pokonywały.

Świat, to wielkie zbiorowisko ludzi, które każdą wstępującą w jego szranki jednostkę wita pytaniem:

— Kto jesteś?

— Co chcesz zrobić?

— Coś wart?

— Jakie masz uzdolnienie i przygotowanie?

— Czy w naszem zbiorowisku znajdzie się uprzywilejowane, czy też podrzędne miejsce?

— Czy zresztą warto na ciebie zwracać uwagę?

Z temi pytaniami spotyka się każdy. Każdy też musi mieć silne ramiona i rzeczywiście *umieć chcieć,* żeby wywalczyć sobie to *chcenie.*

Wielka część z tych, co każdego roku idzie w świat, odrazu szuka pracy.

Pracy zarobkowej.

Szuka, — bo musi.

Bo warunki jej bytu, a często i rodziny, wymagają tego.

Nie pyta nawet, do jakiego działu owej pracy są przygotowane,—tylko żądają pracy.

Żądają i podają na rynku podażnym.

Żądają i chwytają pierwszą - lepszą, która się nawinie.

A tak borykają się z najrozmaitszemi przeciwnościami i trudnościami, wypływającemi najczęściej z własnej pracownika winy i usposobienia, ze zbyt małego przygotowania, przenoszą się i przerzucają z jednej pracy do drugiej.

Po wielu próbach siły wątleją, wola słabnie, gorycz i zniechęcenie zastępuje miejsce wiary, z którą wchodziło się w świat.

Do którego z taką ufnością wyciągano ramiona.

— To losy tych, co szukają pracy, — ale my, co nie potrzebujemy pracy zarobkowej, mamy prawo do uciech, zabaw i przyjemności! — odpowiadają szczęśliwcy.

Tak, do przyjemności i zabaw ma prawo każdy.

Ale życie, złożone z ciągłej zabawy i onych przyjemności, wprędce znuży, znudzi i przesyci.

Znudzi, jak mdła potrawa, po której z ochotą przegryziemy kwaśny ogórek lub kawałek czarnego chleba. Dom, choćby najpiękniej urządzony, bardzo zamożny, stanie się nudny i dziwnie banalny, jeżeli nie weźmiemy udziału w codziennem, szarem jego życiu.

Młoda osoba, przybywająca do tego domu po kilkoletniej nauce w mieście, będzie się w nim czuła obcą i będzie wciąż pragnęła jakiejś nowości i rozrywki, wzdychając za czemś nieznanem.

Z nudów i tęsknoty za *tem nieznanem* może popaść w tak błędne koło, z którego nie wyjdzie, przy największych zaś usiłowaniach trudno jej już będzie powrócić na drogę, z której zeszła samowolnie i niebacznie.

Zresztą, powiedzmy rzecz otwarcie.

Oto wskutek swej nieoględności i gonitwy za przyjemnościami może się stać ofiarą przewrotności, obłudy i rozkiełznanych zmysłów.

Z chęci użycia nieznanej dotąd podróży, rozbudzonych nagle pragnień i chęci, które w niej dotąd drzemały, może stoczyć się w przepaść, z której się nie wraca.

Boć w każdym drzemie złe i dobre, walka dobra ze złem wiecznie się w nas odbywa i wiecznie prowadzi walkę.

Świat cały obok wielkich czynów, dążności do nauki i zdobyczy na wszystkich jej polach jest zbiorowiskiem ludzi.

A w ludziach obok idealnych dążności, obok najwyższych celów drzemie wciąż *zwierzę.*

Zwierzę, którego silna wola i rozum może być dopiero pogromcą.

Więc wszystkim, które po ukończe-

niu pensyonarskich nauk idą corocznie w świat i zdaje się, że są przygotowane do życia, życzymy z całego serca to przygotowanie wniknięciem w siebie pogłębić.

Pogłębić, a opancerzywszy się dobrą a silną wolą, nie szukać nadzwyczajności, nie szukać bezprzestannych rozrywek i zabaw, lecz przyjmować życie w domu takiem, jakie ono jest, jak idzie w dni szare, czy też jasne i słoneczne.

W takich tylko warunkach możemy znaleźć szczęście, do jakiego bądź co bądź, każdy ma prawo i do którego dążyć powinien.

Z. Morawska.

WYCHOWANKA.

POWIEŚĆ

przez Hieronima Rovetta.

Przekład z włoskiego Zofii Sokołowskiej.

3)

Przyniesiono wieczerzę. Roero zabrał się do niej z apetytem, a szampan w połączeniu z dowcipną gawędką przyjaciela do reszty rozproszył czarne myśli. Spał głęboko kilka godzin, ale o czwartej obudził się nagle: serce biło mu gwałtownie, czoło miał zroszone potem.

— Nie, nie, ja nie spełniłem mego obowiązku! Nie jestem w porządku z sumieniem! Powinienem był wyjednać łagodniejsze warunki, gdyż ten biedny Nespola pod względem fizycznym stał znacznie niżej od Bonaldiégo. Nie dbałem zupełnie o tego nieszczęśliwego, który powierzył mi swój honor i życie... Myślałem tylko o Fani, troszczyłem się jedynie o to, co ci panowie powiedzą Fani... Ten człowiek zginął przezemnie. Pozwoliłem go zabić dla miłości Fani!...

W ciemności ujrzał nagle przewrócone białka i straszną ranę, z której buchała krew, usłyszał przeraźliwy krzyk konającego:

— Lulu! Lu... Lu...

Jakie to było dziwne i bolesne, że w chwili śmierci ten człowiek miał na ustach imię psa.

— Lulu! ulubiona psina, jedyne ukochanie tego biedaka! Obiecałem mu zaopiekować się nią. Przysięgam, że spełnię jego ostatnią wolę! Lulu będzie zawsze ze mną. Ale gdzie ona jest? Jak ją wynaleźć? Nespola śmiał się i żartował ze wszystkiego. Może i Lulu to tylko żart?

W każdym razie, nie było jej w brudnej, ciasnej izdebce, którą zajmował na trzeciem piętrze.

— Może powierzył psa jakiej znajomej kobiecie? Muszę wyszukać go i zabrać do siebie; obiecałem.

Roero uspokoił się stopniowo.

— Rozpytam się właściciela domu, może on mię objaśni, gdzie jest ta Lulu; zapłacę rachunek tego biedaka; jeżeli zostawił długi, także je zapłacę; chcę, żeby pamięć jego była szanowana. Olivieri zajmie się jego pogrzebem; poniosę wszystkie koszta.

...Oczy Nespoli przestały go straszyć; zdaje mu się nawet, że słyszy jego śmiech, i zasypia spokojnie.

Ale nazajutrz rano pierwszą jego myślą nie jest Lulu i biedny Nespola, lecz Stefania. Posyła do odźwiernego zapytać się, czy niema do niego listu albo książki. Fania jest zanadto ostrożna, żeby pisać, ale mogłaby przecież przysłać jedno słówko, jakiś znak na dowód, że nie gniewa się na niego, że kocha...

Niema nic, nawet książki, którą przysyła czasem, żeby wezwać go do siebie przed obiadem o szóstej, kiedy jest sama w domu.

— Jeszcze jest za wcześnie, z pewnością przyśle co później... Dlaczego miałaby się zmienić? Cóż ja złego zrobiłem? Byłem sekundantem znajomego dziennikarza demokraty. O to mógłby obrazić się don Juliusz, ale nie ona. Wie przecież, że nie dam się nigdy wodzić na pasku. Jestem pisarzem, artystą, mam inne ideały i obowiązki. Nigdy nie będę taki szablonowy, jak ten Faraggiola albo Estensi. Oni wyzyskali może ten wypadek, żeby oczernić mię przed nią; musieli coś zwąchać i nienawidzą mię... Ale Fania jest za mną, była tu przecież w moim domu. Niewątpliwie napisze do mnie.

Nie śmie iść do państwa Arcolei przez wzgląd na don Juliusza: mógłby go nie przyjąć...

— Chyba napiszę do niej?...

Ale nie, Stefania zabroniła mu pisywać do siebie.

Pozostaje mu tylko czekać wezwania od niej, Roero leży więc w łóżku i czeka. Chciałby zasnąć i obudzić się dopiero, kiedy przyniosą mu jakie słówko od Fani. Nie może jednak zasnąć, natęża słuch i od czasu do czasu wysyła Jana do odźwiernego...

Jest coraz więcej niespokojny i wzburzony. Wstaje wreszcie, ale strofuje służącego, niewiadomo, o co, zrzędzi na golarza i na chłopaka z drukarni. Nie kończąc śniadania, ubiera się i wychodzi.

— Poszukam Lulu!

We drzwiach oddają mu list od Stefanii.

— Kto go przyniósł?

— Służący państwa Arcoli.

— Czy czeka na odpowiedź?

— Nie, już poszedł.

Roero zdejmuje palto i kapelusz, idzie do gabinetu i zamyka się, żeby w spokoju odczytać ukochane pismo, tak upragnione. Nie śmie jednak otworzy koperty; pragnie jak najdłużej rozkoszować się nią, zgadywać, wyobrażać sobie, co ona zawiera.

— To nie list, tylko bilet wizytowy, ale mniejsza o to!.. W każdym razie, napisała do mnie, to znaczy, że kocha i tęskni!..

Odczytuje po raz dziesiąty adres, skreślony pięknym, równym charakterem; ach! jak ta koperta ładnie pachnie!...

Naraz serce w nim skoczyło.

— Może to rzecz pilna? Może naznacza mi schadzkę?... Chce widzieć się niezwłocznie!...

Drżącemi palcami rozrywa grubą angielską kopertę i znajduje w niej bilet wizytowy Stefanii z wielkim znakiem zapytania. Gniew go ogarnia. Schyla głowę i mówi z goryczą:

— To ona! zawsze ostrożna i przezorna! Nie można spodziewać się po niej szczerego porywu serca!... Zalotna i chytra!... Znak zapytania! Co to może znaczyć? Nic... i wszystko!

„Dlaczego nie przyszedłeś?... Dlaczego cię nie widziałam?... Dlaczego nie ufasz mi?“

Twarz Franciszka wypogadza się. Ależ ten znak zapytania staje się coraz więcej namiętny, tkliwy, od słów wymowniejszy! Jest w nim cała Fania, ostrożna zarazem i przewrotna, Fania, która przyszła do niego pół gniewna, pół uśmiechnięta, która ustami mówiła „nie“, oczyma zaś „tak“. Ona kocha go, szuka, drażni, odpycha i czaruje jedną pieszczotą.

„Byłam u ciebie, a ty jeszcze wątpisz o mojej miłości?“

Zdaje mu się, że słyszy jej głos gorący, słodki, czuje zapach jej sukien.

— Droga!... Najmilsza!...

Rozkochany młodzieniec całuje namiętnie bilet wizytowy, kopertę, znak zapytania, a jednocześnie usta i oczy Fani. Kocha i zarazem lęka się tych oczu, raz błyszczących miłością, to znów obojętnych; kocha i lęka się tych rozkosznych ust różowych, to namiętnych, to zimnych, nie śmie jednak biedz do Stefanii, która surowo przestrzega wszystkich zwyczajów i form światowych i przez wzgląd na męża — jest najlepszą żoną w świecie! — pilnuje się godzin. Żadnych wyjątków! żadnych niespodzianek! wszystko w swoim czasie, a czas jest na wszystko.

— Nie mogę pójść za dnia — myśli Roero — pójdę wieczorem, ale trochę wcześniej, żeby zastać ją samą.

A biedny Nespola? A postanowienia powzięte w nocy? Roero pisze do adwokata Olivieri, żeby jutro zajął się pogrzebem i na jutro odkłada też szukanie Lulu.

Hamując niecierpliwość, czeka, aż wybije trzy kwadranse na dziewiątą, żeby przestąpić próg ukochanej. Wybrani i ulubieńcy, jak Roero, przypuszczeni do wspólnej adoracyi wieczornej, przychodzą zawsze między dziewiątą a wpół do dziesiątej, żeby pilnować się wzajemnie.

Młody poeta biegnie po schodach, jakby miał skrzydła, wszedłszy jednak do przedpokoju, zachmurza się: widzi na wieszadłach dwa błyszczące cylindry i dwa futra. Stefania nie jest sama, z pewnością zaprosiła na obiad hrabiego Faraggiolę i margrabiego Estensi. Gniew i zazdrość wstrząsają Franciszkiem, opadają go znowu złe myśli i wyrzuty sumienia.

Idąc za służącym, mówi do siebie:

— Może i ci będą się krzywili na mnie za ten pojedynek, ale mniejsza o to! Nie boję się nikogo!... Ulegam czasami pani Stefanii, ponieważ jest kobietą... która mi się podoba, ale już mam dosyć tego domu, woniejącego paczulą i kadzidłem!... Dziś właśnie zaprosiła ich na obiad, gdyż okryli się chwałą.

— Tędy, proszę pana! — mówi służący.

Prowadzi gościa przez szereg pokojów do saloniku, w którym Stefania przyjmuje... kiedy jest chorą.

— Czy pani jest niezdrowa?

— Tak, proszę pana, po obiedzie uczuła, że jej niedobrze.

Ta wiadomość staje się źródłem nowego niepokoju dla młodego poety: Stefania nigdy bez przyczyny nie jest chora — musi już mieć upatrzoną ofiarę.

W saloniku przytykającym do sypialni, dzięki wielkim abażurom, panuje półmrok. Przy kominku jaśnieją dwa wielkie gorsy nieposzlakowanej białości Faraggioli i Estense, zwanych poufale Carletto i Manolo. Don Juliusz Arcolei stoi przy nich i rozprawia o planach regulacyjnych Medyolanu. Na widok wchodzącego gościa podaje mu rękę, drugą zaś daje znak, żeby zachowywał się cicho.

Roero idzie na palcach i przywitawszy się z panami, wzrokiem szuka pani domu. Stefania leży zdala na szezlongu, zasłaniając oczy ręką.

— Pani Stefania chora?

— Migrena — z westchnieniem odpowiada doń Juliusz—dziś podobno silniejsza, niż zwykle.

Roero zbliża się na palcach do szezlongu. Stefania na chwilę odejmuje rękę od oczu i z jękiem zasłania je znowu.

Franciszek rozumie, co to znaczy, wraca więc do kominka i słucha objaśnień, udzielanych półgłosem przez pana domu. Był przygotowany na burzę i walkę, tymczasem ta przesadzona obojętność zbija go zupełnie z tropu. Nie mogąc zapanować nad gniewem, wstaje po chwili i zwracając się do pana Arcolei, mówi podniesionym głosem:

— Proszę mię usprawiedliwić przed panią Stefanią; jutro rano przyślę dowiedzieć się o jej zdrowie.

Don Juliusz jest zdumiony tym wybrykiem jednego z najuleglejszych wielbicieli żony i próbuje go zatrzymać:

— Nie zostanie pan na herbacie?

— Dziękuję panu, nie mam czasu.

Od strony szezlonga zaszemrał słabiuchny głosik:

— Panie Roero!

Poeta pożegnał się już z panami, ale na wezwanie Stefanii zbliża się do szezlongu.

— Byłam tak niespokojna — szepce Stefania, nie podnosząc głowy — to mi zaszkodziło... Mój mąż jest wściekły na pana... O Boże! — z jękiem przyciska palce do skroni — czy otrzymałeś mój bilecik?

— Znak zapytania raczej? Tak i próbowałem go odgadnąć. Sądziłem, że pani kazała mi przyjść.

— Nie, to znaczyło, że zupełnie nie rozumiem pana...

— A więc omyliłem się.

Głosik Fani staje się czulszy:

— Powiadasz, że mię kochasz, a tymczasem...

Franciszek patrzy na nią chmurnie:

— A tymczasem?... Proszę, niech pani kończy.

— Występujesz przeciwko nam. Doprawdy, nie rozumiem pana.

— Dlaczego pani mówi: *nam?* Ja bynajmniej nie pałam miłością do całego domu włącznie z gośćmi, kocham tylko panią.

— To właśnie panu zarzucam... Nie umiesz kochać, jesteś jeszcze za młody! Gdybyś się kochał prawdziwie, miałbyś trochę przyjaźni dla mojego męża, ceniłbyś jego dobroć i prawość, czułbyś dla niego szacunek. Kiedy kocha się kobietę, powinno się okazywać należne względy jej mężowi.

— Ja przeciwnie, jeżeli kocham kobietę, nienawidzę jej męża i wszystkich, którzy jej nadskakują.

— A więc twoja miłość nie jest poezyą i poświęceniem, lecz samolubstwem; spokój, szczęście i dobre imię umiłowanej nic cię nie obchodzą. Chciałbyś, żeby twoja miłość, zamiast radości, przyniosła wszystkim niedolę... Idź pan. Dobranoc.

Roero nie rusza się z miejsca.

— Idź pan! Zbyt długo rozmawialiśmy na osobności.. Mam nadzieję, że będziesz rozsądniejszy... Wszyscy postanowili nie wspominać o tym smutnym wypadku; pan również staraj się zapomnieć o nim... Jeżeli nie przez wzgląd na mnie, to ze względu na siebie... Myśl tylko o swojej komedyi... Będę ci zawsze sprzyjała, chociaż nie zasługujesz na to, niedobry!... Mam dla ciebie tkliwość siostry... Jutro będę na Mszy w San Fedele...

Piękna chora wzdycha głęboko i znowu zakrywa oczy ręką, błyszczącą od pierścionków.

(d. c. n.).



O chorobach zawodowych u kobiet.

Najzdrowsze warunki pracy na powietrzu. Czemu unikamy zawodowej pracy. Warunki pracy. Wpływ niehygienicznych warunków pracy. Odżywianie. Tryb życia pracownicy.

Niema prawie zawodu, któryby jakiegoś ujemnego wpływu na zdrowie człowieka nie wywierał. Do najzdrowszych niezaprzeczenie należą zajęcia ruchliwe na otwartem powietrzu, zatem przeróżne działy gospodarstwa wiejskiego.

Zdrowy i czerstwy wygląd ludzi pracujących na roli, odrazu rzuca się nam, mieszczuchom, w oczy, w przeciwieństwie do naszej własnej, blado-żółtej, anemicznej cery, która sama za siebie mówi o trybie naszego życia, spędzanego w zamkniętych, dusznych przestrzeniach, bez słońca i dobrego powietrza.

A jednak tak mało kobiet poświęca się dotąd fachowo działom gospodarstwa rolnego, mimo że na tych niewyzyskanych placówkach bardzo potrzeba rąk fachowych kobiecych.

Przyczyną tego może utarty, choć fałszywy pogląd, że praca tam przeznaczona dla ludzi bliżej z ziemią związanych i na niej wyrosłych, dla ziemian i gospodarzy wiejskich i ich dzieci, a może też i obawa przed jednostronnym trybem życia, bez rozrywek wielkomiejskich.

Dość, że ogromna większość kobiet, nie zastanawiając się głębiej nad wyborem zawodu i pytaniem, czy znajdzie w nim moralne zadowolenie, a sił fizycznych nie starga — przedwcześnie, rzuca się dziś na wszystkie placówki przemysłu i handlu miejskiego.

Żeby być dobrym pracownikiem, trzeba umiłować swój zawód, trzeba mieć odpowiednie siły fizyczne i dostateczne wykształcenie w danej pracy.

Mam często wrażenie, że kobiety za mało uwagi poświęcają kwestyi wyboru zawodu, uważając ten czas za fazę przejściową w życiu swojem.

Zdrowie przy pracy zawodowej daje się utrzymać tylko, o ile funkcye wszystkich naszych organów harmonijnie współdziałają i pracują, w pracy zaś zawodowej widzimy na każdem polu zjawisko wręcz przeciwne: przepracowywanie w jednym kierunku jakiegoś organu, zanik zaś innych — z bezczynności powstały. Rezultatem tej nierównowagi w mechanizmie naszych sił fizycznych lub umysłowych — będą cierpienia, na tle pracy zawodowej powstałe.

Im zaś pracownica mniej silna i odporna, i im gorsze są warunki jej otoczenia — tem łatwiej ulega chorobie zawodowej.

Więc pracujące w kurzu, pyle i trujących gazach zapadają na cierpienia oddechowe chroniczne, hafciarki i bieliźniarki— na oczy chorują, kurcze w palcach, t. zw. „schreibenkrampf“ — powstają od ciągłego pisania; egzemy i reumatyzmy stawowe u praczek, warsztaty tkackie rekrutują tysiące ofiar gruźlicy etc.

Zatrudnione w handlu i biurach kobiety prowadzą życie przeważnie siedzące, w pozycyi zgarbionej i jednostronnie pochylonej, lub też wyłącznie ruchliwe („ciągle na nogach“) w sklepach, jako ekspedyentki.

Lokale, w których pracują, są niedostatecznie i nieumiejętnie uprzątane, często ciemne, wilgotne, zimne zimą, gorące i duszne latem. Zwłaszcza mniejsze warsztaty pracy (te liczne magazyny mód, sklepy i sklepiki, rękodzielnie, kantory i kancelarye) znajdują się w opłakanych warunkach hygienicznych, nikt bowiem tam nie zaprząta sobie głowy myślą o hygienie pracujących.

Wpływ ciągłego przebywania w złem powietrzu, zanieczyszczanem stale od zewnątrz przez interesantów, wnoszących błoto, pył, kurz i różne zarazki z sobą — musi po pewnym czasie dać pewne ujemne wyniki w zdrowiu pracujących w takich warunkach. Wątlejsze jednostki zapadają pierwiej, zaczynając od cierpień oddechowych, zaburzeń w krążeniu krwi i układzie nerwowym, osłabieniu mięśni ogólnem. Występują przeróżne objawy niedokrewności: bóle głowy, zawroty, drętwienie i zimno w kończynach, brak apetytu i bezwład kiszek, wyrażający się w chronicznej obstrukcyi. Przy wytężonem znowu ślęczeniu nad rachunkami, tworzeniu pisarskiem i innych pracach umysłowych występują bóle głowy na tle nadmiernego przypływu krwi do mózgu z uderzeniami i wypiekami na twarzy, szumem w uszach i pulsacyą w skroniach, zwłaszcza, gdy w czasie takiej pracy gorset, wysoki kołnierzyk, postisze, szpilki, ciężkie grzebienie i ucisk ubrania utrudniają odpływ swobodny krwi do serca.

Niedokrewność, blednica — to najczęstsze choroby kobiet pracujących w miastach.

Upośledzonemu tworzeniu się krwi sprzyja niedostateczne pożywienie, brak ruchu, powietrza, słońca i nadmierna jednostronna praca fizyczna lub umysłowa. Tracą więc apetyt, przymuszając się do jedzenia, i to najczęściej używek i ciężko strawnych pokarmów. Tanie garkuchnie pomagają niemało w tym akcie niszczenia zdrowia i sił. Zbyt małą bowiem ilością i lichym gatunkiem materyału opałowego w żadnym piecu nie wytworzymy dostatecznej ilości ciepła i choć będzie w nim ogień się tlił, ale pożytku zeń nie będzie. Podobnież i żyjąc byle jak i byle czem nie zdobędziemy sił i energii do pracy i ta ostatnia niewiele wydajną będzie.

Niemałą rolę w zdrowiu pracownic odgrywa ich budżet finansowy i warunki rodzinne: mieszkające np. przy rodzicach odżywiają się lepiej.

Tam jednak, gdzie trzeba się samej z pracy utrzymać, a niekiedy i pomódz innym, najczęściej cierpi odżywianie, najskromniejsza zazwyczaj pozycya w budżecie wydatków kobiecych.

Tryb życia przeciętny pracującej rzeszy kobiet scharakteryzowała mi tak jedna z nich:

„Po śniadaniu (herbata z bułką „naprędce łyknięta"), albo i bez niego, gdy zaśpie, pędzę, co sił starczy, na drugi koniec miasta, żeby się na godzinę nie spóźnić. Czasem jadę tramwajem, ale najczęściej żałuję sobie i biegnę tak szybko, że aż od bicia serca zatrzymywać się muszę. W biurze 8 godzin pracy; po kilku już godzinach ciężar coraz większy w głowie czuję (Jest to powolny objaw otrucia kwasem węglowym powietrza). O 12-tej jem śniadanie, ale najczęściej butersznyt zostaje i piję tylko samą herbatę. Mleka nie znoszę. O 4-tej idę na obiad, ale jem go bez apetytu. Głowa mię codzień boli, na nic nie mam ochoty. Sypiam źle".

Przytaczam słowa tej jednej, bo tysiące za nią to samo mogłyby powtórzyć.

Tak... to przeciętny ich tryb życia codzienny.

Cóż dziwnego, że ta, która miała zacząstki blednicy — rozwinęła ją szybko? że zdrowa, kwitnąca dziewczyna straciła rumieńce?

A jednak możnaby choć w części tym licznym cierpieniom zawodowym zapobiedz.

Rozsądna ekonomia sił naszych, świadomość ujemnego wpływu jednostronnie tylko ćwiczonych organów daje nam wskazówkę, jak noleży wolny od zajęć zawodowych czas wyzyskiwać, aby równowaga w organizmie nie była naruszoną.

Tryb życia i rodzaj pracy wskazywać winien formę wypoczynku po niej.

Przy pracy bez ruchu — należy codzień używać gimnastyki, spaceru, latem gier i zabaw na otwartem powietrzu; każde święto i każda niedziela powinna nas wypędzać z zaduchu miejskiego na słońce i wiejskie powietrze.

Ale i w powszedni dzień trzeba znaleść czas na spacer w parku lub nad Wisłą, na sporty tak zdrowe, jak pływanie, wiosłowanie... na kąpiele słoneczno-powietrzne.

Angielki przez całe życie uprawiają sporty i codzień się gimnastykują: żyją długo, rodzą lekko i są typem zdrowych i silnych kobiet.

A więc?

Dr. Śmiarowska.

Pytania i odpowiedzi w dziale gospodarstwa wiejskiego.

Bielenie płótna.

Pyt. 80. Czem najlepiej jest bielić płótno, aby nie straciło mocy?

B. Niet.

Odp. Ładne i mocne płótno otrzymuje się z przędzy bielonej przed utkaniem w ługu z popiołu drzewnego. Przędzę, przesypaną popiołem czystym i przesianym, zalewa się przegotowaną wodą i wstawia do pieca po chlebie, lub gotuje mieszając ciągle i uważając, aby się nie przypaliła, poczem odlewa się ciemną wodę, płucze w kilku wodach i wiesza w cieniu na 10 dni, płócząc codziennie w wodzie kilka razy. Taka przędza jest mocna i ma śliczny jasno-kremowy kolor, który po kilkakrotnem praniu już utkanego płótna przechodzi w zupełnie biały.

Płótna roszone, na trawie, są mniej trwałe, jednak chcąc osiągnąć białość, nawet fabryki uciekają się do tego sposobu. Najprędsze, ale najmniej trwałe jest bielenie chemiczne przy pomocy środków gryzących, jak chlor, tego więc polecić nie mogę.

M. K.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Wierzyn... w Złoczowie. Zapewne, kto nie umie odnaleźć innej przyjemności w życiu towarzyskiem nad wystrojenie się, połączone ze skrępowaniem w gorset, kto przy kartach jedynie nawykł szukać rozrywki — ten się w towarzystwie nudzi. Co do nas, uważamy, że mało jest większych przyjemności nad gawędy w dobrze dobranem kółku. Trzeba czasem podporządkować ludzi swoim dobrym gustom i niewolić ich do przeczytania wspólnie czegoś ładnego, do wspólnego spaceru, do zbiorowego dobrego czynu, do wspólnie zorganizowanej zabawy. Wciągną się w to i będą wdzięczni. Więc z odwagą do organizacyi towarzyskich zebrań, w czem za dewizę niech Pani sobie postawi, aby mówiono zawsze *o czemś. O kimś* tylko wtedy, jeżeli mówić można dobrze.

Pannie Marcie z Łowicza... „Jaką była dusza Orzeszkowej?" Wielkie pytanie. Najlepiej możemy to tak sformułować: była czystą krynicą, płynącą na podłożu miłości Stwórcy i Ojczyzny. Wszystkich jej dzieł wydawnictwo podjęła firma Gebethnera i Wolffa. Niech Pani czyta wszystko z kolei. Wiele się Pani nauczy i wzbogaci duszę wielkim skarbem, jakim jest niezawodnie przestawanie z niepospolitym autorem.

„Wieśniaczce“. Na to jest jedna rada: założyć nowe kółko. Niech Pani to zrobi. Kółka są tak bardzo pożyteczne dla ekonomicznego rozwoju okolicy, w której powstają, że żadna z obywatelek nie jest zwolniona z obowiązków myślenia o tworzeniu nowych kółek. Wszelkie informacye w biurze Z. K. Ziemianek. Kopernika 14, Warszawa.

P. Bobowskiej. Informacyi udzieli w tym względzie firma księgarska Arcta (Warszawa, Nowy-Świat 53), stamtąd też żądane książki wyślą.

Dla Żytomierki. Specyalnej szkoły buchalteryi z pensyonatem niema. Można tylko chodzić na kursy buch. półroczne, roczne lub dwuletnie; w danym razie damy odresy.

„Stroskanej“. Niema na to rady. Co się rodzi — ginąć musi. Była młodość, którą się kochało, jest starość, której nie trzeba nienawidzieć, choćby dlatego, że to się na nic nie przyda. Zająć się pracą, to się straci rachubę zmarszczek.

P. M. Kłob. Może Łaskawa Pani dać odpowiedź na całość Ankiety o strój ludowy lub na niektóre tylko pytania, to już zostawiamy do Pani uznania, byle była odpowiedź. Każdy list witamy radośnie i prosimy wszystkie Panie, aby nie zaniedbały tej ważnej dla nas kwestyi.

P. Z. Rus. Nie wiemy. Może się Pani zgłosi do Zarządu Wystawy Sztuk Pięknych. Królewska.

Pannie Helenie. A cóż z tego wyniknie, jeśli się w czyn nie wcieli. Niech Pani zaraz zabiera się do wykonania dobrego planu. Na robotę: szczęść, Boże!

„Zmartwionej“. Czem? Że ktoś coś powiedział. A niech mówi, kiedy mu to potrzebne do zdrowia. Pani ma coś ważniejszego do roboty, skoro Pani prowadzi *szkołę* i ma 50 dzieciaków. Te niech mówią dobrze. To ważne zadanie. A ów „ktoś“... Ktoś mądry powiedział: „Ukłócie muchy — nie wstrzyma konia w biegu“. Miał racyę, prawda?

„Pogrążonej w rozpaczy“. A czy Pani pamięta o przysłowiu: „nie pomoże blansz i róż“... Ale za to napewno pomogą: pogoda, dobry humor, a nadewszystko zajęcie się gorliwe domem, zwłaszcza że ma Pani kim się zajmować.

A toż „dorastająca panienka“, to morze zajęć. Z nią czytać, ją uczyć, kształtować młodą duszę, wdrażać do kochania czegoś więcej nad własną „cerę“ — czy to mało zajęcia. Wierzymy, że „rozpacz“ z powodów urojonych zginie, jeśli Pani choć chwilę pomyśli o ważnych zadaniach, jakie na nas nakłada życie.

Cioci Bień... dziękujemy za list. Ochota to byłaby, tylko czasu niema. Zaproszenie miłe, ale nie możemy z niego skorzystać. Wydawnictwa Orgelbrandów są zawsze bardzo starannie dobierane. Biblioteka „Muzy“ — zawierać będzie wyborną całość, nad którą czuwa, pracownik wytrwały i doskonały znawca literatury, Jan Lorentowicz. Bardzo ją Pani zalecamy.

Pani Z. Rok. Związek służących, Erywańska 14. Przewodnicząca p. Helena Zaborowska.

Pracowitej. Wzory artystyczne dostanie Pani w Sekcyi Artystycznej Z. K. Ziemianek.

P. Papieska, przewodnicząca, wyjechała.

Koniec działu redakcyjnego.

Treść N-ru 33-ego. ś. p. Marya Skrodzka.—Nasza Hela.—Udział kobiety w ekonomicznym rozwoju społeczeństw.—Barbara Tryźnianka— powieść przez Maryę Rodziewiczównę.—Wolna miłość w powieści —Ze świata przyrody.—Zdobycze techniki.

Mody—Kronika mody—Kapelusze z płótna i kretonu albo filcu i fularu.—Robota szydełkowa. Idziemy w świat.—Wychowanka—powieść przez Hieronima Rovetta.—O chorobach zawodowych u kobiet.—Pytania i odpowiedzi w dziale gospodarstwa wiejskiego.—Odpowiedzi od Redakcyi. Z dziedziny kosmetyki.—Ogłoszenia.

Na okładce:—Wskazówki praktyczne.—Ogłoszenia.

Z dziedziny kosmetyki.

Cierpiącemu. Najprawdopodobniej, wyrzuty na twarzy są skutkiem nieprawidłowego działania żołądka. *Zioła paragwajskie d-ra Grimma* zwykle w tych wypadkach skutecznie działają, lecz muszą być dłuższy czas używane. Inne środki są zwykle za ostre i tylko chwilową ulgę przynoszą.

Maryanowi. Cerę pielęgnuje prawidłowo *Abarid.*

Bronisławowi. Jeżeli *Precioza* żółtych plam nie usunęła, trzeba użyć drugą dozę i zapudrowywać pyłkiem *Juvenia Candida.* Lepsze środki nie istnieją. *Abarid* nie służy do usuwania plam, lecz do prawidłoewgo pielęgnowania cery i zapobiegania tworzeniu się zmarszczek wskutek fałdowania skóry.

Polce z kresów. Tylko *Abarid,* wcierany na noc, zakonserwuje cerę znakomicie. Jeżeli zmarszczki już się znacznie zarysowują, trzeba użyć do pomocy masażystkę pneumatyczną systemu *Heros.* Myć twarz ciepłą wodą i *Otrąbkami abaridowemi* bez mydła; kolor siwiejącym włosom przywróci *Orizalina,* która nie ma wad, jakie mają inne tego rodzaju środki.

Numerowi 144. Szorstkość czoła usunie *Creme Neutre,* działający znakomicie przeciw wszelkim łuszczeniom skóry i liszajom.

Młodej blondynce. Uporczywe wągry tylko masażystka *Heros* może radykalnie usunąć. Na tę żółtość cery trzeba po wtarciu w twarz na noc *Abaridu* zapudrować natychmiast pyłkiem *Juvenia Candida.*

Ładnej biuralistce. Środek, o który Pani zapytuje, jest zbyt silny i może być użyty na męską, grubą cerę; dla cery delikatnej tylko *Precioza* użytą być może, gdyż działa łagodnie, nie sprawia najmniejszego zaognienia skóry. Na wypadanie włosów środek prawie nigdy nie zawodzący — to *Tetral Tissota,* którym się skrapia skórę głowy przy codziennem rannem czesaniu. *Tetral* nie zmienia koloru włosów, co zwykle ma miejsce przy używaniu innych, podobnych temu, środków. Bóle głowy pochodzą z zaziębienia przy częstem myciu włosów. Otóż zaprzestać zupełnie wszelkiego mycia i czyścić głowę dwa razy na miesiąc na sucho specyalnym pudrem *Florentine* przez natrzepywanie dłonią, a następnie wyczesywanie szczotką i grzebieniem po kilkunastu minutach.

Niezaradnej. Ręce szybko udelikatni i wybieli *Pâte des Prelats Ponsarda.* Najbardziej zniszczone i zaniedbane ręce w ciągu miesiąca można doprowadzić do atłasowej gładkości. Przed samem użyciem *Pâte des Prelats* trzeba ręce umyć w ciepłej wodzie i, gdy jeszcze mokre, wetrzeć w nie trochę tego kremu i nałożyć na noc niciane przewiewne rękawiczki. W dzień zaś, po każdem myciu rąk, użyć maleńką ilość tego kremu. Już pierwszego dnia skutek będzie widoczny.

Do Wszystkich. Środki, tutaj omawiane mają na składzie firmy: *„Perfection“,* Szpitalna, 10, i *Paszkowski,* Marszałkowska, 109, oraz Nowosenatroska, 2, w Łodzi *Spiess,* w Wilnie *Grużewski,* w Kijowie *Niwiński,* we Lwowie *Pawłowski,* Akademicka, 21, w Krakowie *Miklaszewski,* pl. Dominikański, 1. Na kopertach z pytaniami należy dopisać: *„Dział Kosmetyczny“.*

Telimena.

WARUNKI PRENUMERATY:

PRENUMERATA WYNOSI w Warszawie:
Kwartalnie . . . . rb. 1 k. 25
rocznie . . . . rb. 5 k. —
za odnoszenie do domu . . . . . k. 10
zmiana adresu . . . . k. 15

Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . . rb. 1 k. 50
rocznie . . . . rb. 6 k. —
We wszystkich państwach związku pocztowego kwartalnie . . . . rb 1 k. 60

PRENUMERATA W KRAKOWIE:
kwartalnie kor. 4, rocznie kor. 16.
W GALICYI I AUSTRYI:
kwartalnie kor. 4.40, rocznie kor. 17.00.
Zmiana adresu 40 hal.

CENY OGŁOSZEŃ:
Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce na stronie zewnętrznej okładki kop. 20, na wewnętrznej kop. 15. W tekscie kop. 30. I strona okładki kop 40.

Redakcya i Administracya w Warszawie, Zgoda 1. Telefon Redakcyi 80.75, Administracyi 73.22. Redaktorka przyjmuje interesantów od godziny 5-tej do 7-ej codziennie oprócz poniedziałków. Filia w Łodzi, ulica Piotrkowska 81, telefon 12.00, firma „Promień“. *Reprezentacya na Galicyę:* Kraków, ul. Bonerowska 12. Filia we Lwowie, ul. Leona Sapiehy 2. Agencya w Poznaniu: Księgarnia św. Wojciecha.

Adres Redakcyi i Administracyi: Zgoda 1. Warszawa.

Odpowiedzialna za redakcyę w Galicyi: Kamilla Chołoniewska, Kraków ulica Bonerowska 12.

Za redaktora Stefan Krzywoszewski. Kierowniczka działu literac. i praktycz. Lucyna Kotarbińska. Wydawnictwo Tow. Akc. Wydaw. „Świat“

Klisze i druk wykonane w Zakładach Graficznych Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.